

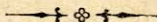
788.

Wypożyczalnia książek
BELETRYSTYKA
Poznań

POJEDYNEK.

A. KUPRIN.

788.



POJEDYNEK

POWIEŚĆ

z rosyjskiego przełożył

JÓZEF MACIEJOWSKI

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

Wypożyczalnia książek
BELETRYSTYKA
Poznań

TOM I.

WARSZAWA

DRUK A. T. JEZERSKIEGO NOWY-ŚWIAT 47.

1906

788.

Komputer.

Kuprin
1823. Poies

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0029504

140669/



D-21/82.1

PRZEDMOWA.

Kuprin jest przedstawicielem „młodej Rosyi”, jest jednym z tych bojowników wolności w literaturze, idących pod sztandarem tak wspaniale rozwiniętym przez Maksyma Gorkiego. Zgoła to jednak inny typ pisarza. Nie jest on wyrazicielem tej wielkiej siły żywiołowej, jaką reprezentuje Gorkij. Duch protestu nie zrywa się w nim, jak wichur, zmiatający wszystko ze swej drogi i będący przedślanikiem burzy. Kuprin jest i więcej refleksyjny i więcej marzycielski. W duszy jego obok mocnych strun idei, której służy, dźwięczą także struny melancholii i smętnej zadumy. Doskonale je wyczuć można w *Pojedynku*.

Powieść ta, zajmująca uwagę czytelnika od pierwszej stronicy do ostatniej, osnuta jest na tle życia oficerskiego. Oficer armii rosyjskiej, którego autor poznał na wylot, w przeciętnym swoim typie jest to *l'homme machine*, człowiek, w którym cała

strona duchowa pogrążona jest w śnie głębokim. Ofiara militarizmu współczesnego i ofiara wielu innych czynników, które wytworzyły walący się obecnie w gruzy ustrój państwowy Rosyi, stoi on zdala od terenu walki duchowej człowieka przyszłości z człowiekiem terażniejszości. Oczy jego nie widzą nic, nawet nędzy własnego istnienia. Obowiązki swoje spełnia on niedbale, umysł jego leniwy i senny nie interesuje się niczem, a młodość swoją i nadmiar energii zużywa na bezcelowe hulanki, na pijatykę i ekscesy płciowe.

Przygnębiająca atmosfera panuje w pułku, ale atmosfera tak jednolita, że nikt jej zabójczym wpływom oprzeć się nie może. Młody oficer, dostający się do tej sfery z inną duszą, z jakimikolwiek aspiracyami, rychło te aspiracje traci i albo staje się podobnym do innych, albo łamie się wewnętrznie i kończy w ten lub inny sposób tragicznie.

Taką ofiarą atmosfery życia oficerskiego jest bohater powieści, podporucznik Romaszow, człowiek z trochę delikatniejszej gliny ulepiony, niż wszyscy jego towarzysze pułkowi. Osobowość jego nie nadaje się do pułku. Ma półświadome poczucie lepszego, jaśniejszego życia, głuchy protest przeciw bezdusznemu schematyzmowi i nieludzkiej rutynie, poniżającej godność ludzką w żołnierzu, a z oficera czyniącej narzędzie jego męki, utajony pęd do pracy rzetelnej, produkcyjnej, przynoszącej owoce—a przy tem wszystkim zupełny brak siły moralnej do walki ze złem, coraz głębsze zapadanie się w błoto, coraz jaskrawsze gubienie swego człowieczeństwa—oto tra-

gizm wewnętrzny istnienia, zamkniętego w kole bez wyjścia, skazanego na nieustanny rozdźwięk z samym sobą, wreszcie na marną śmierć przez miłość dla marnej, niewartej głębokiego i czystego uczucia kobiety.

Dramat Romaszowa stanowi główną oś powieści, jej kręgosłup. W nim tkwią założenia autora, przez niego mówi idea, której głosiicielem jest Kuprin.

Obok tego w powieści jest cały szereg epizodów, składających się na bogato podmalowane tło. Wszystko jest tu bezpośrednio wzięte z życia, podpatrzone doskonale, narysowane wiernie.

Świadczy to wymownie o pierwszorzędnym talencie autora, który tą jedną powieścią zdobył już sobie poczesne miejsce w piśmiennictwie rosyjskiem.

Zdzisław Dębicki.

Maksymowi Gorkiemu

*z uczuciem szczerzej przyjaźni oraz głębokiego
uznania powieść niniejszą poświęca*

AUTOR.

I.

Zajęcia wieczorowe w 6-ej roczce dobiegały końca. Młodszy oficerowie coraz częściej i niecierpliwiej spoglądali na zegarki. Uczono praktycznego zastosowania prawa służby garnizonowej. Żołnierze, rozrzućeni na całym placu, stali koło topól przydrożnych, koło przyrządów gimnastycznych, przy drzwiach szkoły regimentu, również opodal tyczek z tarczami do celu. Były to niby placówki, spotykane przy prochowni, sztandarze, na odwachu lub przy kasie wojskowej.

Pomiędzy żołnierzami przechadzali się rozstawiający ich i wskazywali odpowiednie miejsca. Od czasu do czasu zmieniano odwach; podoficerowie sprawdzali placówki i przekonywali się, o ile nauka jest pojmowaną przez żołnierzy. Starali się przytem w sposób rozmaity, często wykrętny, podstępny odebrać broń od sztyldwacha, nakłonić żołnierza do opuszczenia zajmowanego miejsca, lub dawali umyślnie na przechowanie jakąkolwiek rzecz, najczęściej własną czapkę.

Starzy słuźbiści, znający doskonale tę kazuistykę wykrętną, dość zresztą zabawną, odpowiadali w takim wypadku głosem surowym: „odejdz”. „Nie

mam prawa nikomu oddać strzelby, z wyjątkiem rozkazu co do tego samego cesarza". Młodzi jednak mylili się i łapali na podstępny. Nie potrafili rozróżnić żartu od prawdy i wpadali z jednej ostateczności w drugą.

— Chlebniow! Dyable krzyworeki—wołał mały, okrągły, ruchliwy podoficer Szapowalenko, a w jego głosie czuć było naczelnikowskie rozdrażnienie, Uczyłem cię, nauczyłem, nauczyłem durniu! Czyżżeś w tej chwili rozkaz wypełnił? Aresztowanego? A bodaj cię!.. Odpowiadaj, dlaczego jesteś na odwachu?

W trzecim oddziale powstało prawdziwe zamieszanie. Młody żołnierz, Muchamedzinow, Tatarzyn, ledwo mówiący i rozumiejący po rosyjsku, zupełnie był zbity z tropu umyślnymi podstępami swego *naczalstwa* faktycznego i nieprawdziwego. Rozwścieczony porwał za broń i na wszelkie zapewnienia oraz rozkazy odpowiadał stanowczo!

— Przebiję!

— Ależ czekajże... głupiś, czekaj—przekonywał go podoficer Bobylew. — Któż ja jestem? Jestem twym komendantem odwachowym, więc...

— Przebiję! — krzyczał Tatarzyn ze strachem i groźnie. Z oczyma krwią nabiegłymi rzucał się z bagnietem na każdego zbliżającego się doń. W koło niego zbrali się inni żołnierze rozradowani śmieszonym zdarzeniem i chwilką odpoczynku, jaka nastąpiła właśnie w czasie nauki.

Kapitan Sliwa, dowódca roty, poszedł dowiedzieć się, co zaszło. Kiedy szedł krokiem znużonym, kiedy zgarbiony włókł się na drugi koniec placu, młodzi oficerowie zeszli się na pogawędkę i papierosa. Było ich trzech: porucznik Wietkin, łysy, wąsaty, lat trzydziestu trzech, wesoly gadatywus, kupiecziarz i pijanica, podporucznik Romaszow, drugi rok dopiero będący w pułku, wreszcie podchorąży

Łbow żywy, dobrze prezentujący chłopiec o przewrotno-lagodnych głupich oczach, z wiecznym uśmiechem na grubych, naiwnych ustach -- miał wygląd jakby był przesiąknięty cały i staremi oficerskimi anekdotami.

— Świństwo — rzekł Wietkin, spojrzawszy na swój zegarek i z irytacją trzasnął kopertą—Dyabli wiedzą po co on dotychczas trzyma rotę!

— Zróbcie mu uwagę, Pawle Pawłowiczu—radził z przewrotnym uśmiechem Łbow.

— Do stu dyabłów — zróbcie sami! Cóż najważniejsze—co? Najważniejsze jest to, że wszystko napróżno! Zawsze przed popisami gorączkują się i zawsze to wychodzi na złe! Wymęczą, ogłupią, zafukają żołnierza, a później na rewii będzie stał jak pień. Znany wam jest wypadek, kiedy to dwóch komendantów założyło się, czyj żołnierz więcej zje chleba. Zakład był wysoki. Wybrali dwóch strasznych obżartuchów, jeden z nich zjadł siedem funtów i... dosyć, więcej nie mógł. Komendant rozgniewał się za to na feldfebla. „Cóż ty, taki owaki, oszukałeś mnie”? A feldfebel przewraca oczyma, tłumacząc się: „Nic nie wiem, nic, panie komendancie, co mu się stało. Rano robiliśmy próbę — osiem funtów chrupnął na jedno posiedzenie”.. Tak będzie i z naszymi... Powtarzają, uczą się bez żadnego pojęcia, zaś na rewii wstyd, wstyd tylko przynoszą!

— Wczoraj.. -- Łbow nagle zachichotał. — Wczoraj wszędzie we wszystkich komendach ukończono zajęcia. Idę do domu, było już koło ósmej wieczorem i zupełnie ciemno — patrzę w jedenastej rocie uczą sygnałów, dalibóg, chórem uczą. „Wyce-luj, do pier-si, dziel-nie traf!”—Pytam porucznika Andrusiewiczza, czemuż to dotychczas wyprawiacie takie śpiewy? A on na to: ach tak — no, niby psy, na księżyc wyjemy.

— Brr... co za nuda, co za nuda, fuu! — rzekł

Wietkin i ziewnął. — Patrzcie no, któż to jedzie konno? Czy nie Bek?

— Tak. Bek-Agamałow—potwierdził Łbow.— Doskonale się prezentuje na koniu.

— Bardzo nawet — zgodził się Romaszow. — Mojem zdaniem pięknie jeździ, lepiej niż każdy kawalerzysta. O-o-o! Hopki, hopki konikiem stroi. Kokietuje jazdą.

Bliską drogą jechał konno oficer w białych rękawiczkach i w adjutanckim mundurze. Jego koń wysoki, długi, złotej maści, miał obcięty krótki ogon. Gorączkował się, poruszał łbem, żuł wędzidło i często szybko przebierał cienkimi nogami.

— Pawle Pawłowiczu prawda to, że Bek jest pochodzenia czerkieskiego—zapytał Romaszow Wietkina.

— Sądę, że tak. Czasem Ormianka wychodzi za Czerkiesą, ale Bek wogóle nie kłamie. Tak, spójrzcie, jak on wygląda na koniu.

— Zawołam nań—rzekł Łbow.

Przyłożył ręce do ust i robiąc trąbkę, krzyknął tępo, aby komendant usłyszeć go nie mógł.

— Poruczniku Agamałowie!... Beku!

Jadący konno ściągnął cugle, zatrzymał się chwilę i, pochyliwszy się lekko na siodle, zmusił konia do przeskoczenia rowu, poczem galopem powściągliwym ruszył w stronę oficerów. Mniej niż średniego wzrostu, suchy, żylasty był bardzo silnym. Jego twarz z cienkim, garbatym nosem, ze stanowczymi ściągniętymi ustami miała wyraz piękny, odwagi pełen, nie utraciwszy charakterystycznej wschodniej bladeści matowej.

— Jak się masz—powiedział Wietkin.—Przed kimże tak paradowales? Były dziewice?

Bek Agamałow witał oficerów, podając im rękę. Pochylony ku nim uśmiechnął się, a wtedy białe zaciśnięte zęby rzuciły jakby jasny ton na dolną

część twarzy i małe, czarne, starannie utrzymane wąsy.

— Spacerowały opodal dwie ładniutkie Żydóweczki; ale cóż mi tam! Uwaga moja równała się zeru.

— Wiemy o tem, wiem jak pan źle grasz w warcaby!—zawołał Wietkin.

— Słuchajcie panowie — odezwał się ze zwykłym swoim śmiechem Łbow — wiecie, co powiedział generał Dochturow o adjutantach piechoty? To się ciebie tyczy Bek — że oni najfatalniejsi jeźdźcy w całym świecie..

— Żartuj zdrów — odparł Bek Agamałow. Ruszył koniem, jakby miał zamiar najechać na podchorążego.

— Dalibóg! Wszyscy oni — mówił—mają nie konie, ale jakieś gitary, szkapska dychawiczne, chrome, krzywookie. Rozkażesz, popędzą natychmiast, gdzie się da, popędzą, płot nie płot, wądół nie wądół! Poprzez krzaki wałą, puszczają cugle, tracąc strzemiona, czapkę!

— Cóż tam nowego Bek? — zapytał Wietkin.

— Cóż ma być — nic. Tylko co komendant pułku zastał w klubie podpułkownika Lecha. Rozwrzeszczał się na niego tak, że z pewnością było słyhać na placu ćwiczeń. Lech pijaniuteński; ma, ma, tata wymówić nie może! Stoi i kiwa się, ręce w tył założył... Szulgowicz krzyczy: „kiedy rozmawiasz pan z dowódcą pułku, powinieneś rąk nie trzymać w tyle! He, he — tak mówił wobec służby!

— Ostro, ostro niema co — rzekł Wietkin z uśmiechem ironii, czy też zachęty.—W czwartym regimencie też opowiadali jak on oburzał się: „cóż mi z prawami wyjeżdżacie? Ja sam dla was je-

stem prawem, bez komentarzy więc! Jam tu cesarz i Bóg!

— He, he, he — roześmiał się Łbow. A ot jeszcze zjście, które się zdarzyło w N-skiem jednemu z adjutantów..

— Przestańże, raz Łbow — zawołał Wietkin. Napadło cię dzisiaj ze zdarzeniami.

— Jeszcze mam coś nowego — zaczął Bek — Agamałow, żartami najeżdżając na Łbowa. Koń potrząsał głową, parskał, rozrzucając pianę w koło. — Ot nowego coś powiem. Komendant we wszystkich regimentach żąda od oficerów, aby dla wprawy rąbali manekiny. Epifanowa skazał na areszt za to, że jego szabla nie była ostra. Czegóż się boisz, krzyknął nagle Bek na usuwającego się ciągle podchorążego. Powinieneś przyzwyczajać się. Może sam będziesz kiedy adjutantem. Będziesz wtedy sterczał na koniu, jak wróbel na półmisku, he, he!

— No—no, Azyato, precz że z tą szkapą — wołał Łbow, usuwając się na bok.

— Słyszałeś Bek, jak jeden z adjutantów kupił sobie cyrkowego konia? Wyjeżdża na nim podczas popisu, a koń przed samym dowódcą wojsk zaczyna dreptać na sposób hiszpański. Wiesz ot: nogi do góry, a potem z boku na bok raz, dwa, he, he! Awantura naturalnie, krzyk, nieporządek — ledwo adjutant zdążył wjechać w pierwszy szereg roty, a tu dowódca jak nie zawoła: „Porucznik! — w tenże sam sposób wierzchem na odwach na 21 dni, maarsz!” He, he... Et głupstwa, skrzywił się Wietkin. — Słuchajno, Bek, a toś nam siurprizę zrobił z tem rąbaniem. W takim razie zupełnie już swobodnej chwili nie będzie. Ot i dla nas wczoraj przywieźli tego dziwoląga.

Wskazał na środek placu, gdzie się znajdowała z surowej gliny ulepiona bałwankowata postać podobna do człowieka bez nóg i bez rąk.

— Cóż, próbowaliście rąbać?—zapytał Bek.— Romaszow nie próbowałeś?

— Nie jeszcze.

— Także! Będę się bzdurstwami zajmował — mruknął Wietkin.

— A kiedyż to ja mam czas bawić się w rąbaninę? Od dziewiątej do szóstej sterczy się tutaj, ledwo zjeść i napić się można!

— Ot cudaczek! Jakto, więc oficer, zdaniem twoim, może nie władać szablą?

— A bo i po co? Na wojnie może to się przyda? Przy obecnym systemie broni, na sto kroków nawet człowiekowi nie pozwolą się zbliżyć. Pocóż mi więc szabla, po co? Będzie potrzeba, dobra strzelba starczy, aby wycelować i... paf, paf we łby. To nawet lepsze.

— Dobrze, ale w czasie pokoju? Może zjść jakie zdarzenie, bunt, zamieszka lub coś podobnego...

— Więc cóż? Do czego tu szabla? Mam łby ścinać ludziom, jak kat? Lepiej: *roota pal!* i basta.

Bek-Agamałow uczynił grymas niezadowolania.

— Głupstwa gadasz, Pawle Pawłowiczu, ale, mówiąc seryo ot, idziesz na zebranie, jesteś na spacerze, w teatrze, w restauracyi obrazi cię kto, albo uderzy, dajmy na to, cóż wtedy zrobisz?

— Najprzód nikt mnie nie uderzy — odparł Wietkin, wzruszając ramionami—a potem, gdyby nawet, to z rewolweru doń łupnę i już.

— A jak akurat rewolwer pozostawisz w domu?—spytał Łbow.

— N... no do dyabła... pojedę po niego, wróćę i palnę awanturnikowi w łeb. Był już taki

wypadek. Obrazili w *café* pewnego korneta; ten, ponieważ nie miał rewolweru, pojechał poń, wrócił no i utłukł dwóch jarząbków jakichś, ot co!

— Wiem, słyszałem o tem. Sąd go skazał, motywując wyrok premedytacją morderstwa. I cóż tu dobrego? No, niechby mnie kto spróbował obrazić, to ja się już z nim rozprawię...

Groząc, zacisnął w pięść rękę, przytem silnie poderwał cugle, że koń drgnął gwałtownie skacząc w stronę Wietkina.

— Znowu!—zawołał ten, groźnie spoglądając na Beka.

— Panowie... proszę... he, he, he... W M-skim pułku zdarzyło się, że podchorąży Krauze na przyzwyczajonym zebraniu zrobił skandal. Wtedy bufetowy złapał go za epolety i jedną prawie oderwał. Krauze wyjął rewolwer i mach kuleczką w łeb! Bufetowy został na miejscu! Nastręcza mu się jakiś adwokacina, wali i do niego... he, he, na miejscu. Naturalnie wszyscy uciekli, rozproszyli się jak kamfora. Wtedy Krauze najspokojniej poszedł do obozu. Szydłwach pyta: „kto idzie?” — „Podchorąży Krauze, aby umrzeć pod sztandarem.” Położył się pod nim i przestrelił swoją rękę. Sąd go niewinnił!

— Zuch chłop!—rzekł Bek.

Zaczął sobie opowiadać o rozmaitych awanturach, roztrząsać skandale, z zadowoleniem zwykłym u młodych oficerów, rozprawiać o krwawych bijatykach i o tem, jak podobne zajścia żadnych kar nie pociągały za sobą.

W pewnej maleńkiej mieścinnie bezwąsy kornet po pijanemu zaczął się kupę Żydów, którym rozwalili kuczki wielkanocną.

W Kijowie podporucznik piechoty zarabiał na śmierć studenta za to, że ten trącił go niechcący

w łokieć. W jednym z dużych miast, w Moskwie czy też Petersburgu—oficer zastrzelił jakiegoś pana, który mu zrobił uwagę, że przyzwoici ludzie nie zaczepiają dam nieznanomych.

Romaszow, który dotychczas milczał, naraz, wieniąc się z pewnego pomieszania, poprawiając potrzebne okulary i pokaszlując, zaczął mówić:

— A ot, panowie, co wam powiem. Bufetowiec niech go tam, można nie liczyć... ale przy jakis pan... no jeżeli on człowiek porządny, szlachcic i t. d. — po cóż mam napadać bezbronnego i rozwalać czaszkę szablą? Nie ma pojedynków. Jesteśmy przecież ludźmi kultury, że tak powiem...

— Et, bajeczki, Romaszow,—przerwał mówiącemu Wietkin.—Zażądacie satysfakcji, a ten odpowie: „N...nie...e. e ja, widzi pan... ja tego... wogóle jestem przeciw pojedynkom, rozlewom krwi... zresztą od tego mamy sądy pokoju...” Chodź-że ze zbitą, spuchniętą gębą—he, he!

Bek-Agamałow szeroko się uśmiechnął.

— No i cóż, acha, zgadzasz się ze mną? Mówię ci, Wietkin, ucz ty się robić szablą, ucz! U nas na Kaukazie wszyscy się uczą robić szablą. Walą pręty, baranów, różną wodę.

— A ludzi?—pyta Łbow.

— I ludzi — odpowiada ze spokojem Bek.— I jak jeszcze rąbia! Jednym zamachem rozetną człowieka na dwie części — przez łeb do bioder. Tak to rozumiem — ale inaczej...

Wzruszył ramionami.

— A ty Bek, możesz tak łupnąć?

Bek-Agamałow smutno westchnął.

— Nie, młodego barana to machnę na dwie połówki... próbowałem ciele... ale człowieka — nie podolał. Główek to jeszcze i zetnę, ale tak na wskroś... nie. Ojciec mój z łatwością to robił.

— No, panowie, pójdźmy spróbować—zawołał Łbow prosząco i zapalczywie. — Bek, bądź łaskaw, pójdźmy...

Oficerowie podeszli do manekina.

Cięcia próbował najpierw Wietkin.

Nadawszy swej dobrej, łagodnej fizyonomii wyraz zdziwienia, z całej siły, bardzo niewprawnie uderzył szablą w glinę. Jednocześnie tępo, gardłowo rzucił to charakterystyczne słowo *ciach!*, które wymawiają rzeźnicy przy rąbaniu mięsa. Klinga wryła się na ćwierć arsyzna i Wietkin z niemalym trudem ledwo ją wyciągnął.

— Złe, źle—zauważył Bek, kiwając głową.— No, teraz ty, Romaszow.

Romaszow dobył szabli i z pewnym lękiem poprawił okulary. Średniego wzrostu, szczupły, dość silny był on, ale niezgrabny. W szkole nie potrafił się fechtować, przez półtora roku służby wojskowej zupełnie zapomniał robić bronią.

Wzniósłszy szablę po nad głowę, wyciągnął instynktownie naprzód lewą rękę.

— Ręka!—krzyknął Bek-Agamałow.

Wykrzyknik był zapóźny. Koniec szabli ledwo że dotknął gliny. Oczekując silnego odporu, Romaszow stracił równowagę i potoczył się uderzając klingą o dłoń własną. Bryznęła krew.

— Eh, no właśnie! — zawołał Bek, schodząc z konia.— Mały włos, a odrąbałbyś sobie rękę. Czyż to można w ten sposób używać broni? Nic się nie stało, zawiążcie dłoń chustką. Ot patrzcie, główna rzecz uderzenia zależy od dobrego przegięcia kiści, a nie łokcia, lub ramienia. Mówiąc to, Bek zrobił kilka kręgów nad głową tak szybko i zręcznie, że jego szabla w pędzie klingą uczyniła jedno łyskiwe koło. — Teraz patrzcie: lewą rękę biorę w tył. Kiedy się uderza, trzeba nie bić,

a krajać dany przedmiot, jakby piłować go, szarpiąc szablą do siebie. Należy pamiętać: płaz szabli musi być koniecznie pochyło do płaszczyzny uderzenia. Z tego powodu kąt staje się ostrzejszy. Patrzcież!

Bek-Agamałow odszedł dwa kroki od manekina, wpił się weń ostrym celnym wzrokiem i, błysnąwszy szablą po nad sobą, szalonym, niepochwytym dla oczu ruchem, podawszy się naprzód, dał piekielne cięcie, niby jeden łysk gromu. Romaszow słyszał tylko świst, po którym w mgnieniu oka wierzchnia część bałwana stoczyła się do nóg oficerów.

— Do dyabła, to rozumiem! to cięcie—krzyknął zachwycony Łbow. — Bek, gołąbeczku, raz jeszcze, bądź łaskaw, no raz...

— Tak, spróbuj,—prosił Wietkin.

Bek-Agamałow jednak, obawiając się może zepsucia wywołanego efektu, uśmiechając się schował szablę do pochwy. Ciężko dysząc, z szeroko rozwartymi oczyma, z garbatym nosem, pokazując białe zęby, podobny był do drapieżnego ptaka.

— Alboż to cięcie—rzekł z udaną obojętnością. — Memu ojcu na Kaukazie, sześćdziesięcioletniemu starcowi zdarzało się końską szyję przerażbywać tak, od zamachu! Trzeba, moje dzieci, ciąglej wprawy. U nas ot co robią. Puszcza ją cienką strugą naprzykład wody i tną. Jeżeli niema bryzgów, cięcie dobre. No, teraz ty Łbow!

Do Wietkina podbiegł przerażony podoficer Bobylew.

— Wasza cześć.. Komendant pułku jedzie!

— Bacznooość — krzyknął przeciągle kapitan Sliwa i oficerowie szybko się rozeszli na swe stanowiska.

Mała, niepozorna bryczuszka wolno zjechała

z drogi na plac i zatrzymała się. Z jednej strony ociężałe wylazł, przechyliwszy cały wasąg, dowódca pułku, a z drugiej wyskoczył lekko na ziemię adjutant, sztabs-kapitan Fedorowski,—wysoki, elegancki oficer. Butno i spokojnie przywitał komendant podwładnych. Żołnierze głośno i chaotycznie odpowiedzieli powitalnie z różnych stron placu. Oficerowie salutowali.

— Proszę nie przerywać zajęć; — powiedział komendant pułku i podszedł do najbliższych żołnierzy.

Pułkownik Szulgowicz był bardzo niezadowolony. Obchodził falangi, zadawał pytania, dotyczące się służby garnizonowej i od czasu do czasu wymyślał niemożliwie, z tą umiejętnością nieprzebierania w słowach, jaką posiadają tylko starzy frontowi służbiści. Żołnierze jakby hypnotyzowani uporczywym starczo-bładem, wyblakłym spojrzeniem jego groźnych oczu, patrzyli nań bez mrugnięcia, ledwo dysząc, wyciągnięci jak struna. Pułkownik był to ogromny, tęgi, okazały starzec. Mięsiasta twarz zwięzała mu się ku skroniom, zaś broda otoczona była srebrzystym włosem. Siwe brwi krzaczaste nadawały groźnej fizyonomii surowość. Mówił prawie jednakowym tonem, głośno i jasno, tonem któremu zawdzięczał swoją karierę wojskową, a który brzmiał zawsze donośnie.

— Coś za jeden?—znagła zapytał pułkownik, stając przed młodym żołnierzem, Szarafutdinem, który się znajdował przy płocie gimnastycznym.

— Jam żołnierz 6-ej rotы, Szarafutdinow, wasza wysoka czci! — starannie choć nieco ochryple odrzekł Tatarzyn.

— Głupiś! Pytam cię na jakiś odwach przeznaczonej?

Żołnierz przerażony krzykiem i dzikim wyra-

zem rozgniewanego komendanta, milczał, mrugając powiekami.

— N—no?—podniósł głos Szulgowicz.

— Jaki, na jaki — rzekł z przerażeniem Szarafutdin.—Nie wiem, wasza wysoka cześć,—szepnął stanowczo.

Nalaną twarz pułkownika oblał ceglasty rumieniec, gęste brwi ściągnęły się. Odwrócił się i ostro spytał:

— Któż tu młodszym oficerem?

Romaszow postąpił naprzód, salutując.

— Ja, panie pułkowniku.

— A—a! Podporucznik Romaszow. Dobrze się pan, jak widać, zajmujesz, przygotowaniem żołnierzy. Kolana razem!—krzyknął nagle Szulgowicz, wywalając oczy. — Jak pan stoisz wobec swego dowódcy pułkowego? Kapitanie Sliwa, oto wasz subaltern-oficer nie umie stać jak się należy przed swą zwierzchnością w czasie spełniania obowiązków służby. Ty, psia duszo, — zwrócił się Szulgowicz do Szarafutdina, — kto jest twym pułkowym dowódcą?

— Nie wiem—odparł z determinacją i pośpiechem żołnierz.

— Yu! — ... Pytam cię, kto dowódcą twego pułku? Kto ja jestem? Rozumiesz, ja, ja, ja, ja!.. — I Szulgowicz parokrotnie uderzył się dłonią w pierś.

— Nie wiem—nic nie wiem...

—...—... wymyślał od ostatnich słów pułkownik, kończąc jakimś bezwstydnie cynicznym słowem szereg kłątów: Kapitanie Sliwa, racz tego *sukinsyna* wzięść natychmiast pod broń. Niech zgnije, stojąc pod nią, kanalja, bestya! Pan, podporuczniku więcej myślisz o ogonach kobiecych, niż o służbie. Tańcujesz pan, Paul de Kock na porządku dziennym...

Któż jest żołnierz, zdaniem pana — wołał, wskazując na Szarafutdina. — Nie wie jak się nazywa własny jego pułkownik! — Ależ to hańba, to idiotyzm! Nazwiska pułkownika swego nie wie! D. .d...dziwię się, bardzo się dziwię panu—ha!

Romaszow patrzył w sinawą twarz wściekłego starca, czuł, że jeszcze chwila, a nie znieśie obrazu.... ciemniało mu w oczach.

Naraz bezwolnie powiedział:

— To—Tatarzyn, p. pułkowniku. Nic nie rozumie po rosyjsku a...

Twarz Sulgowiczowi zbladła, drgnęły szczęki, oczy stały się dzikiemi.

— Coo? — ryknął tak, że dzieci żydowskie siedzące koło drogi rozpierchły się jak wróble. — Coo? Rozmowa? Milczeć! Młokos, chorąży pozwala sobie... Poruczniku Fedorowski, w dzisiejszym rozkazie napisz pan, że ja skazuję podporucznika Romaszowa na cztery dni aresztu domowego za nieznamość dyscypliny wojskowej. Kapitanowi Sliwie zaś wyrażam surową naganaę za to, że nie potrafi swoim młodszym oficerom wpajać praw o dyscyplinie.

Adjutant salutował zimno, obojętnie. Sliwa przygarbiony stał z wejrzeniem drewnianem i cały czas trzymał drżącą dłoń u daszka czapki.

— Wstyd, kapitanie Sliwa, — warczał Szulgowicz, stopniowo się uspakajając. — Jeden z lepszych oficerów w pułku, stary służbista i tak rozpущcza młodzież. Z nimi trzeba bez pardonu, ostro. To nie panny, nie rozmokną..

Odwrócił się szybko i w towarzystwie adjutanta poszedł do bryczuszki.

Póki siadał, póki pojazd nie skręcił na drogę, nie zniknął za szkołą regimentu — na placu panowała lekliwa cisza.

— Eh, et, przykro, sucho, złowrogo — rzekł po paru minutach Sliwa, kiedy oficerowie poczęli się rozchodzić do domów. — Licho nadało rozmawiać! Stałbyś pan i milczał! Po dyabła mnie przysłali tutaj pana wogóle do roty? Jesteś tyle potrzebny tu, co psu piąta noga! A teraz nagana w rozkazie. — Panu ssać, a nie...

Machnął ręką. Zgarbiony, odwrócił się od oficera i powłókł do swego brudnego, kawalerskiego mieszkania.

Romaszow patrzył w ślad za odchodzącym kapitanem. Czuł w sercu gorycz, żal do tego starca, którego nikt nie lubił, a któremu zostały tylko już dwa przyzwyczajenia, dwie tylko potrzeby: świetny wygląd jego roty i ciche „do poduszki” pijaństwo. Romaszow zwykł był często, jak wielu zresztą młodych ludzi, charakteryzować siebie w trzecim przypadku liczby pojedynczej — i teraz więc szepnął o sobie:

— Dobre jego oczy, jasne oczy spowiła mgła smutku.

II.

Żołnierze oddziałowi rozeszli się do koszar. Plac opustoszał. Romaszow przez chwilę niezdecydowany stał na szosie. Niejednokrotnie przez półtora roku wyczuwał on samotność — męczące uczucie obcości wśród innych złych, albo obojętnych ludzi. Co teraz począć ze sobą, tak, co począć? Myśli o kawalerskim mieszkaniu, oficerskim klubie były dlań wstrętne. W klubie obecnie zresztą pustki; zapewne dwóch jakich podchorążych gra na podłym bilardzie, pije, pali i wymyśla lub zaklina się co chwila; w innych pokojach tężeje zapach kuchenny...

Nuda—nuda!

— Pójdę na dworzec — rzekł do siebie Romaszow. — Wszystko jedno...

W biednej, żydowskiej mieścinie nie było ani jednej restauracji. Kluby, jak wojskowy, tak miejski brudne, źle utrzymane nie pociągały ku sobie. Jedyne miejscem więc, gdzie się zbierali ci i owi, aby zagrać w karty, zabawić się, pohulać, był dworzec kolejowy — rozrywka wśród monotonnego życia głębokiej prowincji.

Romaszow ogromnie lubił chodzić na dworzec wieczorami, kiedy to właśnie przechodził kurjer i

po raz ostatni zatrzymywał się przed pruską granicą. Z najwyższym zainteresowaniem śledził, jak pociąg, złożony z kilku zaledwie wagonów, wpadał na stację i świecąc olbrzymimi oczami, rzucając plamy czerwone na tor, ze zgrzytem, z jękiem na mgnienie zatrzymywał się, dysząc i sapiąc.

— Staje jak schwycony olbrzym — mówił do siebie oficer.

Z wagonów ukazywały się eleganckie damy, szykownie ubrane, w dziwne kostyumi i kapelusze; wychodzili rozmaici panowie, bardzo wytworni. Toczyła się rozmowa pełna swobody sybaryckiego świata, przepłatana francuszczyzną, niemiezczyzną...

Nikt z tego pociągowego światka nie zwracał uwagi na Romaszowa, ale on za to widział w jadących kawałeczek owej niedostępnej wykwintnej *société*, której życie — to jedno święto, jedna zabawa...

Osiem minut mijalo, uderzał dzwonek, parowóz zaświstał i pełen blasku pociąg ruszał dalej.

Gaszono prędko latarnie na peronie, światło w bufecie ciemniało naraz. Romaszow z tęsknotą spoglądał za krwawem światelkiem ostatniego wagonu kurierskiego; ginęło ono w czerni.

— Pójdę na dworzec — myślał Romaszow. Lecz w tejże chwili spojrzął na zabłocone ubranie i zczernienia od wstydu. Szynel, kalosze ogromnie głębokie były pokryte gliną, omazane, zaszarżane.

W zeszłym tygodniu, kiedy był również na stacji podczas pociągu, ujrzał w otwartych drzwiach pierwszej klasy elegancką damę, secesyjnie uczesana z maleńkimi usteczkami bruneta, wysmukłą; była piękna. Tuż za nią stał wysokiego wzrostu młody człowiek, przypominający nieco cesarza Wilhelma.

Przyglądał się tej parze. Zauważył, że i dama ciekawie, uporczywie nawet rzuciła okiem na niego raz i drugi. Wówczas podporucznik, przechodząc

obok, jak zwykle pomyślał: „oczęta pięknej nieznamojej z zadowoleniem spoczęły na eleganckiej, szczerzej figurze młodego oficera”.

Powracając, by raz jeszcze ujrzyć piękną panią, Romaszow spostrzegł, jak śmiała się wraz ze swym towarzyszem, patrząc na spacerującego. Ten śmiech przywiódł mu na myśl jego ubranie — brudny szynel i kalosze, brak sztywności, roztrzepanie, brak zręczności. Przypomniał sobie frazes, wypowiedziany tylko co i poczerwieniał od męczącego, przykrego wstępu.

— Nie, gdzież mi chodzić na dworzec— wyszeptał podporucznik gorzko, beznadziejnie. — Przejdę się nieco i wrócę do domu...

Był to początek kwietnia. Zmrok zapadał nieznacznie, coraz to gęstszy. Przydrożne topole, białe, niskie domki z ceglanymi dachami, postacie rzadkich przechodniów — wszystko czerniało, tracąc kolor i perspektywę; wszystkie przedmioty przybierały jednolitość, zewnętrznymi liniami odcinając się tylko od półmroczny. Na zachodzie paliła się zorza wieczorna. Różnorodnością barw od fioletowych do różowawych, albo ciężką mętną masą porozszarpywaną blaskiem krwawym wpadało niebo w gorejący czerwony płat, który zmieniał lekko w żółtawy odblask.

Romaszow, idąc wolno, ledwo powłóczęc nogami, patrzył z zachwytem na pożar szeroko rozpalony w niebiosach.

Jak zwykle, od najmłodszych lat, wyobrażał sobie i teraz, że za świetlaną zorzą istnieje jakieś tajemnicze życie pełne blasku krwawej wieczornicy. Tam gdzieś, daleko—daleko za obłokami, za horyzontem pełzało oślepiąco niewidzialnym słońcem opromienione wspaniałe miasto, zakryte przed oczami śmiertelnika chmurami, przenikniętymi wewnętrznym ogniem. Tam to połyskiwały rażąco złote uli-

ce, dziwaczne domy oblane purpurą paliły się milionami świateł okna, a różnokolorowe sztandary powiewały w powietrzu. I zdawało mu się, że tam, w tem mieście, żyją wiecznie weseli, wiecznie rozradowani ludzie, dla których istnienie — to jedna cudowna melodia, których smutek, tęsknota — to coś czarującego, pięknego. Chodzą oni po świetlistych ulicach, placach, wśród ogrodów, fontann, chodzą bóstwom podobni, pełni szczęścia, nie znający żadnych przeszkód ku osiągnięciu pragnień swych, nie omroczeni żadnym smutkiem...

Nagle przypomniała się Romaszowowi niedawna scena na placu: grubiańskie krzyki pułkownika, uczucie przeżytej zniewagi, poczucie niezręczności swej, dziecinnej niezręczności wobec żołnierzy. Największą przykrością było dla niego to, że wymyślano mu tak samo, jak on to nieraz zwykł czynić, gniewając się na tych milczących świadków uczynionej mu zniewagi. Widział w tem zatarcie wszelkiej różnicy między nim a żołnierzami, dopatrywał się jakiegoś poniżenia dla swego stopnia oficerskiego oraz godności człowieczej.

W tejsze chwili w nim, jak w dzieciaku, obudziły się, zakipiały fantastyczne, mściwe groźby. — Głupstwo! Całe życie przedemną — wyszeptał Romaszow i zachwycony własnymi myślami, przyspieszył kroku, głęboko wzdychając. Ot, na złość im wszystkim, od jutra, od samego rana zasiadę do nauki, przygotowuję się i wstąpię do akademii. Praca! O, pracę można wszystko zrobić, czego się tylko zapagnie. Tylko się ostro wziąć! Będę się uczył jak wściekły i zupełnie nieoczekiwanie dla wszystkich zdam świetnie egzamin. Wtedy dopiero powie każdy: cóż w tem dziwnego? Byliśmy na to przygotowani. Taki zdolny, miły, utalentowany młody człowiek.

Romaszow raptownie ujrzał się uczonym ofice-

rem sztabu generalnego, młodzieńcem wiele obiecującym. Imię jego wryte złotemi zgłoskami na tablicy w akademii. Profesorowie radzą mu pozostać w akademii, ale on nie chce, przechodzi do szeregów.

Odbywa termin komendantury rotą. Koniecznie, koniecznie w swym pułku. Przyjeżdża tutaj — wytworny, pobłażliwie niedbały, pełen pańskości jak ci oficerowie ze sztabu generalnego, których widział w roku zeszłym na wielkich manewrach. Z oficerami nie zadaje się prawie. Wszelkie grubijańskie przyzwyczajenia, karty, pijaństwo — nie, to nie dla niego; on tylko jedno pamięta, że w pułku miejsce, które zajmuje, to jeden z etapów jego służby, dalszej kariery i sławy.

Odbywają się manewry...

Bitwa dwóch armii...

Pułkownik Szulgowicz nie rozumie dyspozycji, gmatwa się, komendant korpusu robił mu już kilkakrotnie uwagę. „Kapitanie, wyręcz mnie“ zwraca się do Romaszowa. — „Wyręcz po starej znajomości i przyjaźni. Pamiętasz kapitanie, he-he-he, jak to kłóciliśmy się ze sobą. Bądźże pan łaskaw. Twarz pułkownika zakłopotana mocno. Ale Romaszow z zimną krwią, podając się w tył na siodle i salutując, nieco podwyższonym głosem mówi: „Daruj, panie pułkowniku... Pański to przecież obowiązek umiejętnie kierować pułkiem... Moja rzecz przyjmować rozkazy i wypełniać“... A tu od komendanta pędzi trzeci ordynans, niosąc nowe uwagi niezadowolenia...

Świetny oficer generalnego sztabu, Romaszow, coraz to wyżej i wyżej idzie po drodze swej kariery...

Oto bunt robotników w którejś z wielkich fabryk. Na miejsce zamieszek odkomenderowano rotę Romaszowa. Elegancki, smukły oficer wychodzi przed swe

szeregi. To Romaszow. „Bracia, zwraca się on do robotników, trzeci i ostatni raz uprzedzam, że będę strzelał“. Na te słowa tłum odpowiada gradem kamieni, obelgami i świstem. Wtedy on, Romaszow, komenderuje: ognia! Pada sto wystrzałów, w tłumie krzyk, rozpraszanie, jęki, przekleństwa...

Dziesiątki rannych wije się na placu, pełno poległych...

Jedni uciekają, drudzy błagają przebaczenia.

Bunt uśmierzony. Romaszowa za męstwo oczekuje nagroda i wdzięczność ze strony „naczalstwa“.

Ma być wojna... Nie, zaprzecza sobie Romaszow. Nim to nastąpi, Romaszow, jako szpieg wojenny pojedzie do Niemiec. Nauczy się świetnie po niemiecku i pojedzie. Upajająca odwaga! On sam jeden z paszportem niemieckim!... Będzie się włóczył z miasta do miasta i zdejmował plany fortec, składów, obozów. Do koła ciągle niebezpieczeństwo. Nie ma nad nim żadnych praw, żadnej władzy. Jeśli mu się uda zyskać cenne wiadomości, czeka go sława, pieniądze, byt, uznanie, a nie, to go rozstrzelają bez sądu, bez żadnych formalności, rozstrzelają nad ranem w rowie którejś z twierdz. Każą mu zawiązać oczy białą chustką, lecz on nie zechce, nie przystanie na to, odrzuci chustkę. „Czyż myślicie, że prawdziwy oficer śmierci się obawia“? Stary pułkownik perswaduje mu, prosi go nawet serdecznie: „Posłuchaj pan, jesteś młody, mój syn w twoim wieku. Wyjaw nazwisko, albo tylko pochodzenie swoje, a zamienimy ci karę śmierci na więzienie“. Ale Romaszow z chłodnym szacunkiem przerywa mu: Nie trudź się pan, panie pułkowniku i czyn, co do ciebie należy“. Następnie zwróci się do żołnierzy i powie im stanowczo. „Celujcie w serce!“ Uczuciowy lejtenant, powstrzymując łzy, da znak... rozlegną się strzały...

Obraz ten tak barwnie, tak żywo drgał w wy-

obraźni Romaszowa, że on, szybko dotychczas idący, naraz stanął, czując jak mu serce bije, twarz płomienieje. W tejże chwili słaby uśmiech pełen winy rozchylił mu usta. Wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Gorączkowe myśli znowu go opanowały.

Wojna z Prusami i Austryą...

Olbrzymie pole walki, trupy, granaty, śmiech...

Generalna bitwa decydująca o losach woj.

Ostatnie rezerwy posłane; trzeba wytrzymać napór nieprzyjaciela... Najzawziętszy ogień, wszelkie wysiłki skierowane są na pułk Kiereński. Żołnierze biją się jak lwy, mimo to coraz ich mniej, szeregi rzędna. Moment historyczny! Jeszcze minuta, dwie, a zwyciężonoby wroga. Lecz pułkownik Szulgowicz mimo swej odwagi nie jest w stanie wytrzymać nacisku. Chory, zdenerwowany każe trąbić na odwrót, cofanie się. W tem z za góry na arabskim, pianą pokrytym koniu wypada pułkownik Romaszow. „Nie ważcie się ustępować!... Tutaj cała przyszłość Rosyi się rozgrywa! Szulgowicz opiera się. „Odpowiadam—woła on wobec Boga i cesarza! Nie mogę skazywać na śmierć niechybną całego pułku! Każe trąbić sygnał odwrotu. Romaszow wytrąca z rąk trębacza róg, staje na czele szeregów i zwycięża!

Zajęty, podniecony wyobraźnią, wstrzymywał swój szybki bieg i ledwo opamiętał się.

Po całym jego ciele dreszcze przebiegały, w oczach zakręciły się lzy zachwytu. Ani się spostrzegł jak doszedł do kwatery. Patrzył ze zdziwieniem na dobrze mu znany dom, wrota, ogród.

— Cóż za głupie przewidzenia zajmują mnie— wyszeptał, kurcząc się cały.

III.

Wróciwszy do siebie, Romaszow, nie zdejmując ubrania, rzucił się na łóżko i długo, długo leżał bez ruchu, patrząc pośepnie w sufit. Bolała go głowa, łamało w krzyżu, a w duszy czuł taką pustkę, jakby żadna myśl nigdy się nie zdradzała, żadne uczucie, żadne wspomnienie, jakby tęsknota, rozdrażnienie były mu obcemi, tylko obojętność jedna panowała zawsze.

Za oknem konały kwietniowe mroki. W przedpokoju gospodarował *deńszczyk*, prawdopodobnie przygotowujący herbatę.

— Dziwne — monologował Romaszow.—Dziś czytałem, że człowiek nie może ani jednej minuty nie myśleć. A ja leżę i nic nie myślę. Czyżby? Nie, w tej chwili myślałem o tem, że nic nie myślę; teraz sam siebie sprawdzam, więc znów medytuję.

Dotąd roztrząsał tę nudną dysertację, aż mu się stała wstrętną, aż poczuł coś w rodzaju szarej, brudnej pajęczyny, od której nie mógł się uwolnić.

— Wstrząsnął głowę i krzyknął:

— Hajnan!...

W przedpokoju coś załomotało, coś się potoczyło hałaśliwie i w tejże chwili wpadł do pokoju *deńszczyk*, wpadł tak szybko tak gwałtownie jakby go ktoś ścigał.

— Jestem wasza cześć—krzyknął Hajnan wystraszonym głosem.

— Czy od porucznika Nikołajewa nikogo nie było?

— Nie, wasza cześć—zawołał Hajnan.

Pomiędzy oficerem i deńszczykiem od dawien dawna zawiązała się serdeczna nić, nawet do pewnego stopnia jakby rodzinna. W rozmowie jednak żołnierz na pytania odpowiadał zawsze tym drewnianym urzędowym tonem, znanym w wojsku, a streszczającym się w słowach „tak i nie”. Słowa te padały w odpowiedziach z przyzwyczajenia, subordynacji szeregowca. *Tak i nie* zda się jakby wżarte było w mózg na całe życie *deńszczyka*.

Hajnan był z pochodzenia Czeremisem, a religię wyznawał bałwochwalczą. To ostatnie ogromnie pochlebiało Romaszowowi. Pomiędzy młodymi oficerami w pułku był dosyć naiwny, niemal chłopięcy zwyczaj uczyć *deńszczyków* rozmaitych dziwactw i rzeczy niezwykłych.

Wietkin naprzykład ilekroć u niego zjawiali się goście, zapytywał nieraz swojego służącego Moldawianina: „Cóż Bureskuł, czy jest jeszcze u nas w piwnicy wino szampańskie”. Bureskuł odpowiadał z całą powagą: „nie wasza cześć, wczoraj wypróżniony został ostatni tuzin butelek”.

Inny oficer, podporucznik Epifanow, lubił dawać swojemu deńszczykowi pytania bardzo mądre, wątpliwa rzecz czy przez samego podporucznika doкладnie rozumiane. „Cóż myślisz, mój przyjacielu, pytał on — o restauracji monarchicznej Francji współczesnej?” Deńszczyk, nie mrugnawszy nawet oczami, odpowiada: „tak jest, wasza cześć, to byłoby bardzo dobre”. Porucznik Bobetyński uczył swojego deńszczyka katechizmu, i ten bez zajknięcia się odpowiadał na zadziwiająco abstrakcyjne pytania: „Dlaczego uznaje się za dogmat jednego Boga w Trójcy?” — „Boskość w trzech osobach nie jest ważna, odpowiadał deńszczyk”. — „Cóż o tem twier-

dzi Kościół?” — „Kościół o tem milczy”. U tegoż oficera deńszczyk z karykaturalnymi ruchami deklamował monolog Pimena z *Borysa Godunowa*. Uczono również deńszczyków i po francusku: dzień dobry panie, dobranoc, czy pan sobie życzy herbaty, i rozmaitych, w tym rodzaju, dziwactw. A wszystko to robiono z powodu nudy, bajecznie ciasnego życia, dalekiego po za służbą od wszelkich innych zajęć i aspiracji.

Romaszow często rozmawiał z Hajnanem o jego bóstwach, o których sam Czeremis bardzo mało wiedział, a przedewszystkiem toczyła się rozmowa o przysiędze, wykonywanej przez żołnierza Cesarzowi i ojeźźnie. W chwili kiedy formułę przysięgi odbierał od prawosławnych *batuszka*, od katolików ksiądz, od Żydów rabin, od protestantów z braku pastora, sztabs kapitan Ditz, a od Mahometan — porucznik Bek Agamałow, z Hajnanem była całkiem inna historia. Adjutant pułkowy dał jemu i jego dwóm współwyznawcom po kawałku chleba z solą na ostrzu szpady. Chleb ten Czeremisi zjadali nie dotykając go rękami. Obrządek ten symbolicznie zdaje się mówić: oto zjadłem chleb ze solą u nowego gospodarza — niechże mnie ukarze żelazco jeśli nie będę mu wiernym. Hajnan szczyił się tem i z wielką chęcią o tem wspominał. A ponieważ za każdym razem, kiedy o tem opowiadał, co raz to nowsze i fantastyczniejsze dodawał rzeczy, urosła więc z tego pełna dziwactw bajka, która ogromnie interesowała i śmieszyła Romaszowa oraz przychodzących do niego towarzyszy.

I teraz Hajnan myślał, że Romaszow zacznie z nim rozmawiać o bóstwach i o przysiędze. Ale Romaszow rzekł obojętnie.

— Dobrze... idź sobie...

Żołnierz, który wyczekiwał na rozmowę, z kolei zapytał:

— Czy przygotować panu ubranie?

Romaszow nie zdecydowany chwilę milczał.

Miał ochotę rzec— „tak“, potem powiedzieć znów — „nie“, znów— „tak“. Westchnął głęboko i w końcu odparł:

— Nie, Hajnan, po co... Podaj samowar, a następnie pójdziesz po kolację do klubu.

„Umyślnie dzisiaj nie pójde — z jakąś stanowczością myślał. Niepodobna codziennie napastować ludzi, nawet... bardzo mi tam radzi nie są.”

Postanawiał sobie zupełnie seryo nie chodzić, jednak wiedział, że co innego uczyni, że dziś, tak samo jak wczoraj, po za wczoraj, jak codziennie przez ostatnie trzy miesiące wizytę swoją złoży Nikołajewym. Dzień w dzień dawał sobie słowo ani razu nie być u nich, a przynajmniej choć parę tygodni, przecież trwał w tem postanowieniu tylko do wieczora, do pory wizyty. Wtedy ciągnęło go coś do Nikołajewych, do ich skromnego, eleganckiego mieszkania, do tych wesołych ludzi, a szczególnie w jasny kobiecej piękności, kokieteryjności pełnej i dobroci.

Romaszow usiadł na łóżku. Było już prawie ciemno, ale on doskonale widział jeszcze cały swój pokój. Jakież liche meble, jakież marne to mieszkanie! Stolik z lampą i kałamarzem — mopsem, małe łóżko, nad niem dywan, pudło od wiolonczeli, półka z książkami, wieszadło z ubraniami — wszystko wydało mu się lichszem, niż było niem istotnie, nad oknem słomiana *stora*, zwinięta w trąbkę i koło drzwi ręcznik, okrywający wieszadło. Z wyjątkiem wiolonczeli reszta mebli znajdowała się prawie u każdego oficera. Tę wiolonczelę wziął Romaszow z orkiestry pułkowej; nie była tam potrzebna, a i jemu również, wcale bowiem nie grywał i nie grywa.

Rok temu Romaszow z dumą samodzielności kupił wszystkie przedmioty, stanowiące obecnie jego umeblowanie. Własne mieszkanie, własne rzeczy, możność kupowania, wybierania przedmiotów według własnego gustu — to zachwycało dwudziestoletniego chłopca, tak niedawno wypuszczonego z ławy uczniowskiej kadetów, tak niedawno zmuszonego z najści-

ślejszą subordynacją stosować się do rozkazów. Ileż planów, ile nadziei było w tym czasie, kiedy kupowało się wszystkie utensylia, potrzebne do gospodarstwa kawalerskiego. Jakiż poważny program był zakreszony! Przez pierwsze dwa lata zasadnicze poznanie literatury klasycznej, systematyczna nauka języków fraucuskiego i niemieckiego, nauka muzyki. W następnym roku przygotowanie się do akademii. Konieczne śledzenie, trzymanie ręki na pulsie bieżących spraw, interesów, nauki, sztuki nie było wykluczone. Nawet Romaszow postanowił prenumerować dziennik i miesięcznik popularny. Kupił książki takie jak psychologię Wundta, fizyologię Louisa, aby z nich kształcić się...

Książki dziewięć już miesiące leżą na pulce, Hajnan kurzu z nich nie ściera, zaprenumerowane gazety nie czytane w banderlach porozrzucane są po różnych krzesłach, pod stołem, a sam ich właściciel, Romaszow, dużo pije w klubie, ma dość dawny, brudny, odpychający stosunek z żoną jednego oficera z pułku, z którą oszukuje jej męża, często z oficerami grywa w sztosy i coraz bardziej wyczuwa ciężar służby wojskowej, przyjaciół i całego swego życia.

— Wybacz, wasza cześć! — krzyknął nieomal deńszczyk, wpadając nagle z sieni. Zmienił raptem ton i rzekł dobrodusznie.

— Zapomniałem powiedzieć... Pani Peterson list przysłała. Przyniósł go *deńszczyk*, prosząc o odpowiedź.

Romaszow, zmarszczywszy brwi, rozerwał długą, wąską, różową kopertę z gołębiem niosącym list.

— Zapal lampę, Hajnan — rozkazał *deńszczykowi*.

„Najdroższy, najmilszy Żorż — czytał Romaszow, dobrze mu znane drobne, nierówne linijki. — Nie byłeś u nas całutki tydzień. Tak się z tobą stęskniłam, że całą onegdajszą noc płakałam. Pamiętaj — jeśli mi się sprzeniewierzysz, nie zniosę tego. Zżyję morfiny i przestanę się męczyć; moja

śmierć nieda ci spokoju. Oczekuję cię dzisiaj o w pół do ósmej wieczór. *Jego* w domu nie będzie, ma zajęcia. Wycaluję cię ile sił mi starczy. Przychodź — milion ślę całusów. Cała twoja *Raissa*".

W postscriptum pierwszym był wierszyk miłosny, a w drugim:

„W następną sobotę musisz być na zebraniu w klubie. Darzę cię trzecim kontredansem”.

Na stronie czwartej listu była wyrysowana figura koła, zaś w niem napisane

Tutaj złożyłam pocałunek.

Liścik uperfumowany wydzieliał znajomą mu woń bzu. Z drobnych literek wyłoniła się w wyobraźni Romaszowa ryża główka kobieca z przewrotną twarzą i taki wstręt wzbudziła w młodym człowieku, że podarł korespondencję w małe kawałeczki i rzucił je pod stół. W tej sekundzie zdołał również Romaszow z przyzwyczajenia mówić o sobie jakby o kimś trzecim.

„I on roześmiał się gorzkim, szyderczym śmiechem”.

Postanowił odrazu, że pójdzie do *Nikołajewych*, ale to już ostatni, ostatni raz. Oszukując w ten sposób samego siebie, zawołał na *deńszczyka*.

— Hajnan, ubranie!

Kiedy już był zupełnie ubrany i miał wyjść, służący nagle go zatrzymał.

— Wasza cześć! — rzekł miękko, prosząco *Czeremis*, kręcąc się niespokojnie na miejscu — wasza cześć — powiedział najłagodniej.

— Czego chcesz?

— Podaruj mnie wasza cześć tego białego pana.

— Jakiego białego pana?

Służący wskazał palcem za piec, gdzie się znajdował ogromny biały biust *Puszkin*. Ten biust w dodatku wcale nie był podobny do *Puszkin*, ale

do jakiegoś Żyda i był nabyty od przygodnego handlarza. Maszkara ta tak się uprzykrzyła *Romaszowowi*, że kazał ją wyrzucić na dwór, czego jednak *deńszczyk* nie uczynił.

— Po co ci to? ależ weź go, zrób mi tę łaskę. Jestem nawet bardzo z tego zadowolony, ale na co ci on?

Hajnan milczał.

— No, wszystko jedno, Bóg z tobą — rzekł *Romaszow*. — A czy ty wiesz kto to jest?

— Nie wiem!... — I utarł nos rękawem.

— Nie wiesz, to ci powiem. To — *Puszkin*. *Aleksander Sergiejewicz Puszkin*. Powtórz za mną *Aleksander Siergiejewicz*...

— *Besiew* — rzekł *Hajnan*.

— *Besiew*? No niech będzie *Besiew*, — zgodził się *Romaszow*.

— Wychodzę. Gdyby przysłali *Petersonowie*, powiesz, że podporucznik wyszedł nie wiadomo gdzie. Zrozumiałeś? A gdyby przysłali z kwatery komendanta lub pułkownika, jednym słowem, w sprawie służby, to przyjdiesz po mnie do porucznika *Nikołajewa*. Bądź zdrow, mój stary!... Kolację moją z klubu możesz zjeść.

Uderzył przyjacielsko po ramieniu *deńszczyka*, który w odpowiedzi uśmiechnął się do niego radośnie, familiarnie.

IV.

Było ciemno, zupełnie już ciemno. Romaszow, wyszedłszy, stapał zrazu jak ślepiec. Głębokie kałose, tonąc w błocie, utrudniały chód tak, że nieraz aż kłął z niecierpliwości.

Miasteczko miało wygląd jednej pustki, jakby wymarło tak było cicho; psy nawet nie czekały. Z tego lub owego niskiego okienka padało mgławie światło na żółto burawą, błotnistą drogę.

Od mokrawych płotów, koło których szedł Romaszow, od wilgotnych drzew, błotnistej drogi, z pół wreszcie niósł się jakiś wiosenny zapach, jakaś moc szczęścia, wesela. Wiatr silny, wpadający gwałtownie w ulicę dał nie równo, gwałtowniej, to ciszej, płaśał czasem szalał, ustając raptownie...

Przed domem, który zajmowali Nikołajewowie, podporucznik zatrzymał się. Ogarnęło go chwilowe niezdecydowanie.

Małeńkie okna zasłaniały *stary* płócienne, przez które widać było jasne światło. W jednym miejscu portyera odchyliła się, robiąc długą wązką szparę. Romaszow ostrożnie podszedł do okna. Przyłożył głowę do szyb, tamując oddech, jakby się obawiał, że ktoś może usłyszeć w pokoju. Dostrzegł Aleksandrę Pietrownę. Siedziała ona na kanapie. Pochylona, miarowo poruszając rękoma, zajęta była jakąś

robótką. Nagle postać jej wyprostowała się. Aleksandra Pietrowna podniosła głowę i westchnęła... poruszyła ustami...

„Co ona mówi“ — pomyślał Romaszow. — Uśmiechnęła się. Jak to jest dziwne — patrzeć na mówiącego człowieka i nie słyszeć tego co mówi. Uśmiech raptownie zginął z twarzyczki kobiety. Spochmurniała. Coś szepnęła, znów uśmiech zjawił się na usteczkach. Kiwa głową wolno, przecząco. „Może o mnie myśli?“ — wyszeptał do siebie Romaszow.

Jakiś spokój, jakaś czystość, jakaś jasność spłynęła na Romaszowa z postaci tej kobiety, której się przyglądał, jakby żywej, jakby narysowanej, wyobrażającej dobrze mu znany portret; „Skarbczyku mój“ — rzekł cicho, tkliwie Romaszow.

Aleksandra Pietrowna gwałtownie, z lękiem zwróciła twarz do okna. Zdało się Romaszowowi, że patrzy mu prosto w oczy. Przestraszył się, poczuł bicie serca, niepokój. Odsunął się szybko. Miał ochotę wrócić do siebie, ale się przemógł i przez sień wszedł do kuchni.

W chwili kiedy deńszczyk czyścił go, otrzępywał, a on przecierał zapocone binokle, z salki zadźwięczał głosik Aleksandry Pietrowny.

— Szczepanie, czy to rozkaz przyniesiono?

„Oho namyślnie pytał — pomyślał Romaszow. — Wie, że ja przychodzę zawsze o tej porze“.

— Nie, to ja Aleksandro Pietrowno — krzyknął przez drzwi nieco fałszywym głosem.

— A! Romaszko! Prosimy, wejdz że pan, wejdz! Czemuście się zatrzymali? Włodeczku, wszak to Romaszow przyszedł.

Wszedł Romaszow trochę zgarbiony, machinalnie pocierając rękę.

— Natrętny gość ze mnie — nie prawdaż?

Sądził, że wypowie te słowa tonem wesołym, tymczasem rzekł je jakoś drewniano.

— Cóż znowu! — krzyknęła Aleksandra Pietrowna. — Siadaj pan, napijemy się herbaty.

Patrząc mu dobrotliwie w oczy, uściśnęła energicznie jego rękę swoją ciepłą, miękką, maleńką dłonią.

Nikołajew, odwrócony do nich plecami, siedział przy stole zawalonym książkami, atlasami, rysunkami. Przygotowywał się do egzaminu, pragnąc wstąpić do akademii sztabu generalnego. Był to już trzeci z kolei egzamin, dwóch pierwszych nie złożył, pracował więc tem usilniej. Nie obracając się do Romaszowa, Nikołajew wyciągnął do gościa rękę i rzekł swobodnie, po przyjacielsku.

— Jak się macie, Jerzy Aleksiejewiczu. Nowin żadnych niema? Ola, daj mu herbaty. Wybaczcie mi, jestem szalenie zajęty.

„Naturalnie, niepotrzebnie tutaj przyszedłem” — pomyślał z rozpaczą Romaszow.

— Niema, jakieżby były nowiny... Centaur awanturował się z podpułkownikiem Lechem. Lech podobno był pijany; rzecz cała działa się w klubie. Epifanowa wsadził na odwach.

— Tak? — zapytał z roztargnieniem Nikołajew. — Powiedz pan?

— I mnie skazał na cztery doby — jednym słowem nowiny stare.

Zdało mu się, że nie jest naturalnym. W tej chwili jednak Romaszow pomyślał, że jeśli i tak bywa, to rzadko kto z otaczających taką nienaturalność spostrzega, właściwie czuje też ją sam w sobie i na tem koniec. Siedział na krzeselku obok pani Oli, która robiła jakąś koronkę.

Była zawsze czemś zajęta. Wszystkie serwetki, obrusiki, abażury w całym domu były jej robotą.

Romaszow ostrożnie wziął niteczkę idącą od kłębka do małej rączki i spytał:

— Jak się nazywa ta koronka?

— Gipiura. Po raz dziesiąty już się pan pytasz.

Spojrzała przenikliwie na porucznika, spuściła oczy, znów je podniosła i zaśmiała się.

— Wszystko byłoby dobrze, Jerzy Aleksieje-

wiczu tylko... ot bądź pan sobą. Bądź sobą — zakomenderowała.

Romaszow westchnął, patrząc z ukosa na pojęzyczny kark Nikołajewa, bielejący nad kołnierzem kurtki.

— Szczęśliwy Władimir Efimycz, — rzekł on. — W lecie pojedzie do Petersburga... wstąpi do akademii.

— To jeszcze pytanie, ostro powiedziała pani Ola, śląc te słowa pod adresem męża. — Już dwa razy wracał do pułku. Teraz to już ostatni — ten będzie ostatni.

Nikołajew zwrócił się ku niej. Dobrze, męstwa pełne jego oblicze poczerwieniało, a duże, ciemne oczy o wołowym wyrazie groźnie błysnęły.

— Nie pleć, nie pleć Oleńko! Powiedziałem że zdam, to zdam! Uderzył mocno ręką o grzbiet krzesła. Gadasz i gadasz! Powiedziałem...

— Powiedziałem! — przedrzeźniała go żona i tak samo jak Nikołajew, małą smukłą rączką uderzyła po kolanie. — Powiedz ty mi lepiej — jakie są zasady porządku bojowego? Wiesz pan, — zaśmiała się zuchowato, zwracając do Romaszowa, — lepiej od niego całą taktykę umiem. No, Władeczk, oficerze generalnego sztabu, zasady, zasady?

— Żarty, daj mi pokój — burknął Nikołajew. Lecz nagle razem z krzesłem przysunął się do żony, patrząc na nią z lękiem.

— Czekażże, kobietko, istotnie, wiesz, nie zupełnie pamiętam. Bojowy porządek? Powinien on na tem polegać, aby jak najmniej mógł być pustoszoną przez ogień nieprzyjacielski, dalej, aby można doskonale komenderować... dalej... czekaj no.

— Za to ostatnie pieniądze się płaci — zawołała pani Ola i szybko, jak to czynią pierwsze uczennice, spuściwszy oczy, nieco się kołysząc, jednym tchem wyrzekła:

— Porządek bojowy polegać winien na szybkich zwrotach, szybkich ruchach, gibkości, na dogo-

dnosci komendy, na stosowaniu się do danego miejsca; powinien jak najmniej ucierpieć od wioгих kul, szybko rozwijać i związać szyk bojowy, prędko zawsze być gotowym do pochodu... no to i wszystko!

Podniosła oczy, odetchnęła i śmiejąc się rzekła do Romaszowa.

— Dobrze?

— Cóż to za pamięć! — zazdrośnie wykrzyknął Nikołajew, pograżając się w pracy.

— Bo my, Jerzy Aleksiejewiczu, wszystko razem robimy — mówiła pani Ola. — A ja, ja bodaj by dzisiaj podejmuję się złożyć egzamin. Najważniejszą rzeczą to system, system ot co — zawołała wymachując sztydelkiem. System nasz, to moja chwala. Codziennie uczymy się kawałeczka z matematyki, nieco z taktyki, co do artylerji, ta trudną jest dla mnie: jakieś wstrętne formuły, zwłaszcza w *ballistyce*, przechodzimy kawałek z kodeksu. Następnie przerabiamy francuski, niemiecki, geografję i historję.

— A rosyjski — zapytał z grzeczności Romaszow.

— Rosyjski, to bagatela. Pisownię według Grota skończyliśmy; co do ćwiczeń — rok rocznie też same. *Para pacem, para bellum*. Charakterystyka Oniegina w związku z epoką...

Raz zacząwszy, z ogromnem ożywieniem ciągnęła dalej o tem, co stanowiło treść obecnego jej życia. Aby być lepiej przez Romaszowa słuchaną, odebrała mu nitkę, którą się bawił.

— Nie podobna mi żyć tutaj, Jerzy Aleksiejewiczu, nie podobna! Rozumiecie mnie! Pozostać tutaj, to znaczy zupełnie się zaniedbać, to chodzić na wasze wieczornice, plotkować, słuchać intryg, irytować się z powodu rozmaitych dodatków za dobę, czy innych... br... pozostać tutaj — to urządzić z przyjaciółkami pułkowemi „baliki”, grać w winta... Mówisz pan, że u nas miło, przyjemnie. Spójrz że

pan, na Boga, na dobrobyt mieszczański, jaki teraz otacza pana! Te gipiury, filé, które sama robiłam, suknia przerabiana własnoręcznie, obmierzły dywan z kawałków.. wszystko razem brzydkie, brzydkie... Chciej pan zrozumieć, że mnie potrzeba towarzystwa, ale towarzystwa istotnego, potrzeba życia światowego.. Pan wiesz, Włodzio prochu nie wymyśli, ale on uczciwy, śmiały i pracowity człowiek. Niechaj się tylko dostanie do sztabu generalnego, a przysięgam, zrobi przy mnie karierę. Umiem języki, potrafię, że się tak wyrażę, wszędzie zachować się odpowiednio, do każdego zastosować. — W końcu, powiedz pan, czyż istotnie niema we mnie nie interesującego, nic z człowieka, nic z kobiety, czyż na tyle jestem i brzydka i głupia, abym miała kwasieć się w tem miernem miasteczku, nieoznaczonem na żadnej mapie?

Z jej oczu popłynęły gorzkie, samolubne, pyszałkowane łzy.

Zaniepokojony mąż, podbiegł do niej z roztargnieniem, ze smutkiem. Ale pani Ola, przestała płakać, choć w oczkach tliły się jeszcze namiętne, łzawe ogniki.

— Już nic, nic Włodczku — odsunęła lekko rękę męża i śmiejąc się, odbierając znów nitkę Romaszowowi, zapytała go z kaprysem i kokieteryą:

— Więc jakże? Nie odpowiesz pan? Ładna jestem, czy też brzydka? Kiedy kobieta żąda komplementu — trzeba nań odpowiedzieć, inaczej zbycie jej niczem będzie nie grzecznością.

— Oleńko, jak ci nie wstyd — odezwał się mąż.

Romaszow uśmiechnął się nieznacznie a wymownie. Ledwo dosłyszalnie, prawie zupełnie cicho, powiedział:

— Bardzo, bardzo pani piękna.

Pani Ola zmrużyła oczęta i tak szybko po-

trząsnęła główką, że rozrzucone włosy rozfalowały się.

— Ro-omaszko, jakiś pan śmieszny!—zadźwięczała dziecinnym głosem. Podporucznik zaś czerwieniąc się, pomyślał jak zwykle o sobie:

„Jego serce było okrutnie zgnębione”.

Wszyscy umilkli. Pani Zofia robiła robótkę. Władysław Efmowicz, tłumaczac na niemiecki zdania ze samouka *Tussena i Langortta*, wymawiał je półgłosem.

Romaszow ponownie owładnął niteczką i wolniutko, nieznacznie pociągał ją z rąk kobiety. Było dlań rozkoszą wyczuwać jak rączki pani Oli odruchowo sprzeciwiają się wysunięciu nitki z paluszków. Zdawało mu się, że coś tajemniczego od niej płynie ku niemu po tej niteczce.

Patrzył jednocześnie Romaszow wzrokiem delikatnym, nadzwyczaj ostrożnie na pochyloną postać młodej kobiety i ledwo poruszając ustami szeptał w myśli, widząc z panią Olą rozmowę *intime*.

— Jak mnie śmiało zapytała: czy ładna? O, jesteś piękna, milusia! Siedzę i patrzę na ciebie, cóż to za szczęście dla mnie! Słuchajże, powiem ci jak jesteś piękna. Słuchaj... Masz bladawą, smagłą twarzyczkę o wyrazie pragnienia... gorące różowe usteczka — jakże one muszą całować!.. oczęta cieniem rzęs przysłonięte... Gdy patrzysz prosto, białka twe troszeczkę błękitnawe, a w dużych plamkach mętna głęboka, ciemnawa lazurowość. Nie jesteś brunetką, masz jednak w sobie coś cygańskiego. Włos twój taki śliczny, tak pięknie związany w tyle, że ma się ochotę dotknąć ustami twej główki. Jesteś małą, lekką, podniosłbym cię jak dziecko, ale jesteś wiotka, silna — pierś twa jak pierś dziewczęcia — ty cała jesteś tak porwijająca... Na lewym uszku masz niewielkie znamię—coś cudownego!..

— Nie czytałeś pan w gazetach o pojedynku oficerskim—zapytała naraz pani Ola.

Romaszow drgnął, z trudnością przestając patrzeć na nią.

— Nie czytałem, ale słyszałem.

— Naturalnie, pan bo nic nie czytujesz—ot, jak zwykle... Seryo, Jerzy Aleksiejewiczu, zaniedbujesz się pan... Mojem zdaniem cały ten pojedynek była to rzecz bez sensu. Rozumiem, że pojedynek między oficerami istnieć musi; rzecz to jest i konieczna i rozumna. Ale beztakt, brak taktu? Pomyśl pan: jeden porucznik obraził drugiego. Obraza ciężka; grono oficerów żąda rozstrzygnięcia przez pojedynek. Dotąd wszystko dobrze, ale dalej? Dalej nic okrom głupoty. Warunki bowiem — ot poprostu skazanie na śmierć. Piętnaście kroków i walka aż do otrzymania ciężkiej rany. Jeśli obydwa przeciwnicy nie ponieśli szwanku, wystrzali ponawiają się... Rzeź, rzeź nic więcej. To jeszcze nie wszystko. Na miejsce pojedynku zjeżdżają się oficerowie o mało, że nie ze swojemi żonami i... i fotograf! To ohydne, Romaszow, co? Jeden z nich młody, w dodatku znieważony, otrzymuje po trzeciej wymianie strzałów ranę i umiera. Przy nim mieszkała matka i siostra... biedaczki! Na cóż ta krwawa buffonada zamiast pojedynku? A zauważ pan, że cała ta historia nastąpiła zaraz po ogłoszeniu zezwolenia na pojedynki. Wierzaj mi pan, teraz tchórze, ci oficerowie, przeciwnicy pojedynków będą krzyczeli—ach pojedynki—barbarzyństwo! Pojedynki—przeżytek, bratobójstwo!

— Jesteś pani jednak krwiożerczą istotą — rzekł Romaszow, patrząc na rozblyskane oczy pani Oli.

— Cóż znowu! Żałuję tylko ludzi, żałuję! Robaczka, który chodzi mi po szyi czasem, nie zabije nigdy, a tylko zrzuć, cóż mówić więc o ludziach. Prosta logika to mówi: oficerowie są głó-

wnie potrzebni dla obrony kraju. Jakiż tu jest pierwszy ważny postulat? jakich się wymaga przymiotów? Śmiałości, odwagi, stoicyzmu wobec śmierci. Te przymioty w czasie pokoju uwydatniają się najlepiej w pojedynkach. Ot i wszystko — chyba to jest jasne — co? Francuz do przesady jest honorowy, Niemiec zanadto porządny, u nas co innego — pojedynek jest konieczny, konieczny! Nie będzie wówczas pijaństwa, karciarstwa, obmów, wymyślań, rzucania na siebie karafkami i t. p. Słowo oficerskie powinno być bez zarzutu, jak i każdy jego czyn. A potem — obawa wystrzału zmniejsza się przez pojedynki. Rzykować życie—to właśnie wasza profesya...

Urwała tok słów, zajmwszy się ponownie robotką.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Oleńko jak przetłumaczyć na niemiecki „przeciwnik”—zapytał Nikołajew, podnosząc głowę od książek.

— Przeciwnik?—Pani Ola zamyśliła się.—Prze-czytaj całe zdanie...

— Takie jest: nasz przeciwnik cudzoziemiec.

— *Unser ausländischer Nebenbuhler* — szybko przetłumaczyła młoda kobieta.

— *Unser* — powtórzył Romaszow, z zamyśleniem patrząc na lampę.— „Kiedy ją cośkolwiek podnieci, myślał, to tak słówkami rzuci, jakby śrucinkę wysypał kto na talerz”. — *Unser, unser* — jakież to śmieszne słowo—szeptał Romaszow.

— Co tam pan mówisz? — raptem spytała Aleksandra Pietrowna — coż tam mruyczysz Romaszko? Przy mnie nie wolno.

-- Zupełnie nie mruczę. Powtarzałem słowo *unser* takie ono śmieszne.

— Cóż znowu; *unser*, śmieszne, dlaczego, dla-czego?

— Widzi pani... —trudno mu było wypowiedzieć myśl swoją. — Jeśli się długo, bez ustanku zacznie

powtarzać jakieś słowo, to ono w końcu zatraci swoją własność, swoje znaczenie...

— Acha, acha—zawołała pani Ola—tak tak.— Teraz nie tak to łatwo robić, ale kiedy byłam dzieckiem... to, to było dość nawet zabawne!..

— Właśnie, właśnie...

— Pamiętam, pamiętam doskonale! Pamiętam nawet słówko, które mnie zawsze zastanawiało: „może być”. Zamykałam oczy i kiwając się, wymawiałam wciąż: „może być... może być!” Zapomniałam zupełnie, co ono oznacza i nawet nie mogłam sobie przypomnieć. Zdawało mi się, że ono jest czemś w rodzaju kawowej plamki z dwoma czerwonymi ogonkami. Co—zabawne?

Romaszow bardzo miękko spojrzął na młodą kobietę.

— Zdziwiałające, jedne i te same mamy myśli—powiedział cicho.

— *Unser*... pojmuje pani, to coś wysokiego, szczupłego i z żądłem. Jakies długie cienkie robaczysko, bardzo złe...

— *Unser* — Młoda kobieta podniosła głowę i spojrzała przed siebie, w ciemny kąt pokoju, pragnąc odtworzyć sobie w wyobraźni to, co myślał Romaszow.

— Nie, jest ono raczej zielonkowate, ostre. Naturalnie robaczysko! Podobne do *kowalika* ale gorsze.. Eh jacyż my niemądrzy oboje...

— Bywało również — rzekł tajemniczo Romaszow—także w dzieciństwie... Wymawiam jakieś słowo, staram się je rozciągnąć coraz bardziej, bardziej... Raptem zdaje mi się, że wszystko wkoło mnie zginęło, znikło; wówczas dziwi mnie, że to ja właśnie ciągnę sylaby, że mówię, żyję, myślę...

— Doskonale znam podobne uczucie — wesoło podjęła pani Ola. — Coprawda inaczej robiłam. Wstrzymywałam oddech, myśląc: nie oddycham a czas biegnie, biegnie, biegnie... aż w końcu prze-

staje pędzić... niema go... Trudno jest takie rzeczy wytłomaczyć sobie.

Romaszow patrzył na nią z zachwytem.

— O tak, tak, bardzo trudno!

— No, moi państwo psychologowie, czy jak was tam nazwać dość tego, czas na kolację, — rzekł Nikołajew i powstał z krzesła. Od długiego siedzenia ścierpły mu nogi i bolał go krzyż. Przeciągnął się tak, że aż zachrząsało w mięśniach.

W małym eleganckim pokoju jadalnym było przygotowane zimne przyjęcie. Nikołajew nie pijał, dla Romaszowa jednak stała karafeczka z wódką.

Z pewnym grymasikiem pani Ola zapytała gościa:

— Pan naturalnie nie możesz się obejść bez tej obrzydliwości?

Romaszow uśmiechnął się z pokorą i tak się zmieszał, że aż, pijąc, zakrztusił się.

— Trzeba nie mieć sunienia—gniewała się łagodnie gospodyni domu.—Pić pan nawet nie potrafiysz... Takiemu pijakowi, jak wasz przyjaciel Nazański, to do wybaczenia, ale panu po co to, na co się truć?! Szkoła Nazańskiego...

Nikołajew, który podczas słów pani Oli, czytał „prikaz“, nagle zawołał:

— A ot: Nazański wyjeżdża na urlop miesięczny.

— Ho ho, musiał dobrze pić. Czyś go widział, Jerzy Aleksiejewiczu? Jakże on...

Romaszow ze smutkiem opuścił głowę.

— Nie wiem, zdaje się, że pije.

— Ten pański przyjaciel jest wstrętny — z irytacją rzekła pani Ola. Tacy oficerowie to hańba dla całego pułku.

Niebawem po kolacyi, Nikołajew zaczął poziewać i nareszcie otwarcie powiedział:

— A gdyby tak udać się na spoczynek moi państwo, co?

— Masz słuszność—podchwycił Romaszow i jednocześnie pomyślał:

— Istotnie. Zupełnie postępują ze mną bez ceremonii. Po co, po co tu przychodzę?

Wydało mu się, że Nikołajew wypędza go z domu. W tej chwili jednak, żegnając się wpierw z gospodarzem domu, pomyślał z rozkoszą Romaszow o uścisku dłoni pani Oli. Myślał o tem zawsze, wychodząc. I kiedy moment ten nadchodził, młody człowiek tak się całą swoją duszą zatapał, że nawet nie słyszał, co do niego mówiła młoda kobieta.

— Proszę o nas pamiętać. Zawsześmy radzi panu. Lepiej siedź pan u nas, niż przy butelce wraz z Nazańskim. Pamiętać jednak trzeba: jesteśmy bez ceremonii.

Słowa te zrozumiał dopiero na ulicy.

— Tak, są ze mną bez żadnej ceremonii—wyszeptał z goryczą, obrazą pewną, do której skłonni są bardzo młodzi ludzie, a zwłaszcza samoluby.

W salce już się nie świeciło.—Poszli spać—pomyślał Romaszow, bardzo drobiazgowo wyobrażając sobie, jak się małżonkowie do snu gotują i co o nim mówią.

— Dosyć mam już tego twojego Romaszowa—rzecze Władysław Efimowicz, siedząc w negliżu.— Ciągłe i ciągle przychodzi, co ty masz za przyjemność w tem?—A pani Zofia odpowiada czesząc się przed lustrem. „A boż to mój Romaszow, twój, wcale nie mój!”

Bijąc się z podobnemi myślami, podporucznik wy dostał się na drogę. Nie miał najmniejszej ochoty iść do siebie, wzdrygając się na wspomnienie własnego mieszkania.— Ot *na złość jej* pójdę do Nazańskiego,—postanowił, poczuwszy jakieś mściwe zadowolenie.— Zwymyślała mnie za przyjaźń z Nazańskim, ot na złość idę do niego! Niech tam!

Podniósłszy głowę do góry: gorączkowo wy rzekł: „Przysięgam, przysięgam, ostatni raz tam jestem, ostatni raz! Dosyć upokorzenia, dość!”

Mówiąc to, dodał podług swego zwyczaju:

— Ciemne, pełne wyrazu jego oczy uderzały niezłomnością i pogardą!—chociaż jego własne oczy nie były czarne a bure.

Nazański wynajmował pokój u swego kolegi porucznika Zegrzta. Ten Zegrzt prawdopodobnie był najstarszym porucznikiem w całym pułku, a może armii. Mimo, że był i na wojnie tureckiej, że służbę pełnił bez zarzutu, jakoś nie awansował. Wdowiec z czworgiem dzieci jak mógł, tak zabiegał, mając wszystkiego czterdzieści osiem rubli pensyi miesięcznej. Wynajmował pokoje oficerom, szył dla całej swej rodziny, leczył ją, rozmaite kobiece robotki przygotowywał i, jak mówiono, sprzedawał. Prowadził gospodarstwo, ale mu się nie powodziło. Często też można było widzieć Zegrzta biegającego po miasteczku w starym, obdartym płaszczu mikołajewskim i szukającego pożyczki gdzie się da.

V.

Romaszow wyszedł na ganek. Otoczyła go noc ciemna, ciepła, noc wiosenna.

Podporucznik szedł, trzymając się płotu i czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do mroku.

W tejże chwili otworzono drzwi od kuchni Nikołajewych i Romaszow usłyszał jak ktoś wyszedł, a potem szepł *deńszczyka* Szczepana.

— Dzień w dzień łązi i po co, dyabli go wiedzą.

Drugi zaś nieznanym głosem żołnierskim odparł, ziewając.

— Eh, bracie, musi mieć on interesa... a wszystko z tęgości!.. do widziska Szczepan.

— Do widziska Baulin. Zajdź tam kiedy.. Romaszow oparł się o płot. Uczuł wstyd, wypieki na twarzy, tysiące szpileczek w całym ciele. „*Deńszczycy* się śmieją nawet”—pomyślał z rozpaczą.

Przypomniał mu się calutki dzisiejszy wieczór, rozmowa, jaką prowadzili. Wyniósł wrażenie, że mają go dosyć, że im się naprzykrzył swemi wizytami, że go ledwo znoszą.

— Jakież to okropne, jakie poniżające—szeptał, cicho się przekradając koło płotu, ogradzającego domek Nikołajewych.

W jego mieszkaniu świeciło się.

Romaszow podszedł do okna i zajrzał do wnętrza.

Zobaczył samego Zegrzta. Porucznik siedział koło okrągłego stołu, nad którym paliła się wisząca lampa i szył coś czerwonego—bodaj, że naprawiał koszulkę czerwonego koloru. Jego twarz zaabsorbowana, znużona, pomarszczona, zarost ryży, niewielkie oczy, czasem podnoszące się na pokój, wyrażały zgryzotę.

Romaszow zabębnił w okno; Zegrzt drgnął, odłożył szycie i podszedł do okna.

— To ja, Adam Janowicz. Otwórz pan, na sekundę—rzekł Romaszow.

Zegrzt otworzył, wysuwając głowę.

— Czy podporucznik Romaszow? A co takiego?

— Nazański w domu?

— W domu, w domu. Dokąd że ma iść?— O, Boże—broda Zegrzta zatrzęsała się w okienku— Nie wesoło mi z tym Nazańskim. Już drugi miesiąc nic a nic nie płaci za obiady. Przed wprowadzką jeszcze prosiłem go, aby się pilnował...

— Hm, tak — przerwał mu Romaszow.—Wogóle cóż tam u niego? Można się z nim zobaczyć? Zegrzt chwilę nadśluchiwał.

Zdaje się, chodzi po pokoju. Pojmujesz pan, mówiłem mu, aby wszelkich unikać...

— Wybaczcie Adamie Janowiczu — przerwał mu znów Romaszow.—Jeśli pan pozwoli, innym razem będę służył... mam teraz bardzo ważny interes, bardzo...

Odszedł; skreślił na rogu domu. W głębi po za ogrodzeniem ujrzał otwarte okno pokoju Nazańskiego.

Na stoliku paliła się lampa, Nazański szybko chodził wzdłuż i wszerz; pokazywał się od czasu do czasu w otwartym oknie, to nikił za framugami.

Romaszow przeskoczył przez ogrodzenie, podszedł do okna i wymienił nazwisko przyjaciela.

— Kto tam? — zapytał spokojnie Nazański, jakby oczekując powtórnego wymienienia swego nazwiska. Zbliżył się przy tem do okna.—A, to wy, Jerzy Aleksiejewiczu? Zaczekaj: przez drzwi wejście będzie trudniejsze niż przez okno, bo ciemno jest, więc tedy lepiej, daj mi tylko rękę.

Pokój Nazańskiego jeszcze był gorszy jak Romaszowa. Pod ścianą stało łóżko, nie, raczej tapczan, okryty kołdrą burakowego koloru; dalej stolik i dwa taburety, szafka, kufer skurzany—oto całe umeblowanie.

— Jak się masz, mój drogi — rzekł Nazański, serdecznie ściskając dłoń Romaszowa i patrząc na niego dużemi, zamyślonemi niebieskiemi oczyma. — Siadaj na łóżku. Słyszałeś, zażądałem urlopu z powodu choroby.

— Tak. Tylko co mówił mi o tem Nikołajew.

Tu Romaszow przypomniał sobie słowa *deńszyka* Szczepana i twarz jego pokrył smutek.

— A! Byłeś u Nikołajewych? — nagle żywo bardzo zapytał Nazański.—Bywasz tam często?

Jakiś instynkt ostrzegawczy, spowodowany niezwykłym tonem pytania kazał Romaszowowi skłamać, to też obojętnie odparł:

— Nie, nie chodzę często, tak, czasem, a dziś ot, wypadkiem byłem.—Nazański, przechadzając się po pokoju, naraz stanął koło szafki i otworzył ją. Stała tam na półce karafka z wódką, na talerzyku zaś było pokrajane w plasterki jabłko.

Odwrócony tyłem do gościa, Nazański szybko napił się wódki, co Romaszow dostrzegł.

— Nie napijesz się? — próbował namówić gościa.—Zakąska nieszczerobólna ale jeśliś głodny, można zrobić jajecznicę.

— Dziękuję, chyba później.

Nazański znów rozpoczął swój spacer po pokoju. Przeszedłszy raz i drugi tam i napowrót, zaczął mówić takim tonem, jakby podjął na nowo przerwana rozmowę.

— Tak. Ciągle tak chodzę i myślę. Czy wiesz, jestem szczęśliwy. W pułku wszyscy jutro powiedzą, że jestem chory z pijaństwa, a tymczasem ani nie jestem chory, ani nie cierpię. Zwykle jestem przybity, zgnębiony. Łączę się wówczas z bojaźliwym biednym, głodnym środowiskiem, mając uczucie męczenia się nawet samym sobą, a dalej wyrozumiałości mimo wszystko i rozsądku. Nienawidzę służby wojskowej, a przecież służę. Dlaczego? dyabli wiedzą dlaczego! Może dlatego, że wszyscy od lat najmłodszych mówili mi zawsze, iż najwyższemu szczęściem człowieka, to być sytym i odzianym. Filozofia to bezsens; dobre to dla tego, kto ma majątek po ojcach. Ot, robię więc to, do czego nie mam najmniejszej ochoty, wypełniam z obawy przed życiem rozkazy, które są dla mnie i okrutne i bezmyślne. Życie moje tak marne monotonią jak ot, tego tam płotu i takież szare jak sukno żołnierskie. Nie mam odwagi myśleć o czemśkolwiek, już nie mówię roztrząsać takich kwestyi, jak miłość, piękno, nie mam odwagi zadumać się nawet nad tem, co to jest ludzkość i jakie z nią wiążą mnie stosunki, jakie wiązać powinny. A natura, a równość, a szczęście ludzi, a poezya życia, a Bóg... Szydzą, śmieją się, że to filozofia!... Śmieszne, ale zarazem i dzikie jest to przekonanie, że oficer piechoty nie powinien o takie rzeczy potrącać nawet. To jest filozofia; głupstwa, bezsensowne opowiadanka, cha! cha!

— A przecież to jest najważniejsze w życiu — w zadumie rzekł Romaszow.

— Oto przychodzi do mnie owa chwila, chwila, którą nazywają opowiadankami; przychodzi czas moich wakacyi — mówił z gestykulacją Nazański — tak, Romaszow, swoboda duszy, myśli! Żyje się wtedy

może nieco dziwną, ale głęboką cudowną egzystencją wewnętrzną, rozumiesz, wewnętrzną! Całą pełnią się żyje! Wszystko co tylko widziałem, o czym tylko myślałem, co wyniosłem z książek, wstaje we mnie przeniknięte jasnym, głębokim światłem o nieukończonych treści. Wówczas, to moja pamięć zamienia się w jakieś wspaniałe muzeum rzadkich okazów. Rozumiesz... staję się Rotszyldem wtedy! Biore, co mi się podoba z tego muzeum i rozmyślam nad tem długo, z zachwytem. O ludziach, spotkaniach, charakterach, książkach, o kobietach, o miłości zwłaszcza, zwłaszcza o tem! Często dumam o tych wielkich ludziach, którzy kiedyś byli, o męczennikach nauki, o mędrkach, bohaterach i o tem, co mówili, co pisali, czem były ich czyny! Nie wierzę w Boga, Romaszow, ale religia, kult jej ma dla mnie również nieuchwytny czar i o niej myślę niejednokrotnie. O tem się myśli i, wierząc mi, zdarza się, że nieraz wyczuję gorącą czyjaś radość, czyjaś ból, nieśmiertelne piękno... Pamięć mam cudowną, wiele błądzi w niej z tego, czego kiedyś uczyłem się.

Romaszow podniósł się z łóżka i pocichu usiadł w otwartem oknie. Odcinająca się ciemnością od światła lampy głęboka noc, zdawała się jeszcze głębszą, jeszcze więcej tajemniczą. Ciepły, lekki wiatr poszemrywał liśćmi niskich krzewów.

W miękkich powiewach pełnych wiośniaego zapachu, w ciszy, w ciemnościach, w pełgających gwiazdach — można było wyczuć jakieś nieodgadnione tulaństwo chwil, gorące umiłowanie macierzyńskiej ziemi; słodycz — pragnienie roślin, drzew, całego świata.

Nazański wciąż chodził po pokoju, nie patrząc na Romaszowa; mówił dalej, jakby się zwracając ze słowami do ścian i kątów pokoju.

— Myśli, podczas owych godzin biegną tak szybko, tak są różnorodne!... Rozum staje się przenikliwym, a wyobraźnia, potokiem, potokiem...

Wszystko, co tylko sobie przypomnę widzę tak realnie, jakby żyłem! O! wiem, mój kochany, że ta wrażliwość spowodowana jest używaniem alkoholu, działaniem jego na nerwy. Zrazu przypuszczałem, poznawszy życie, wewnętrzną egzystencją, że to jest natchnienie. Ale nie: nie ma tu nic twórczego, nie nawet trwałego. Jest to po prostu chorobliwy proces... To są gwałtowne, raptowne przypiły, które raz wraz rozszarpują dno. Tak—mimo to, jest mi przyjemnie, nad wyraz przyjemnie mieć takie chwile... I niech dyabli wezmą wszelką wstrzemięźliwość, długowieczność, co mi po tem! Jestem szczęśliwy oto wszystko!

Nazański podszedł do szafki i napił się wódki. To samo uczynił Romaszow.

O czym—że myślałeś Wasilu Nikołajewiczu przed moim przyjściem tutaj—zapytał Romaszow, siadając ponownie na oknie. Ale Nazański prawie, że nie słyszał tego pytania.

— Co to naprzykład za rozkosz marzyć o kobietach!—wykrzyknął, podchodząc z gestykulacją do kąta pokoju.—Po co myśleć ohydnie, po co? Nie trzeba nigdy robić człowieka nawet w myślach współnikiem złego, a cóż dopiero współnikiem błota. Jeśli marzę o kobietach, to o tych wytwornych, delikatnych o cudnych oczach i pięknych uśmiechach przeduchowionych twarzy, marzę o kobiecie-matce, kobiecie świętej, o kochankach, które dla miłości życie są gotowe poświęcić, o pięknych, niewinnych, dumnych dziewczynach ze śnieżną duszą. Niema takich kobiet, zresztą może i są. Zapewne że są, ale my, obaj, nigdy ich nie ujrzymy. Ty Romaszko, może je kiedy zobaczysz, ale ja—nie.

Stał teraz przed Romaszowem i patrzył na niego; z oczu jednak, z nieokreślonego uśmiechu widocznym było, że nie zwraca na gościa uwagi. Nigdy Nazański nie był piękniejszym dla Romaszowa, jak w tej chwili, nigdy, nawet gdy był trzeźwym, nie wzbudzał w nim takiego zainteresowania.

Złotawy, kręcony włos okalał wysokie, jasne czoło i opadając w lokach na tył głowy, sięgał szyi doskonałego rysunku. Fizyonomia podobną była do jednej z twarzy greckiego bohatera, którą Romaszow gdzieś kiedyś widział. Oczy błękitne rzucały wzrok rozumny, żywy. Trzeba było być dobrym obserwatorem, aby dostrzedz, że oblicze Nazańskiego świeże, różowawe, ma przecież na sobie dużo rysów—rezultat alkoholu, że jest ono nadpuchnięte z powodu zapalnego stanu krwi.

— Miłość dla kobiety! Czyż może być coś więcej tajemniczego, głębokiego! Cóż to za rozkosz, co za wspaniała słodyczą swoją męka! — Krzyknął nagle pełen zachwytu Nazański. Porwał się za głowę i potoczył w kąt pokoju, lecz doszedłszy doń, zatrzymał się, obrócił do Romaszowa i wesoło, ogromnie wesoło zachichotał.

Podporucznik spojrział na niego z przerażeniem.

— Przypomniała mi się pewna śmieszna historyjka—zwyczajnym tonem rzekł Nazański.—Oh, roztańcowały się moje myśli!... Razu pewnego w Riazaniu czekałem na stacyi „Oka” na statek, trzeba było czekać z dołą—było to podczas wylewów wiosennych. Siedziałem naturalnie w bufecie. Była tam dziewczyna tak, lat osiemnastu. Nieładna ospowata, ale żywa, z oczętami jak węgle i mimo brzydoty nadzwyczajnie miłutka. Prócz mnie i tej dziewczyny były jeszcze w salce dwie osoby, urzędnik telegrafu i bufetowy, ojciec dziewczęcia. Tego ostatniego nie liczę; rzadko się ukazywał, śpiąc ciągle w innym pokoju. Gruby, tłusty podobny był do buldoga; wstrętna morda. Telegrafista przychodził co moment. Pamiętam, stanie wsparty na łokciach i milczy. I ona milczy, patrząc przez okno na wylew. Nagle cicho młody chłopak zaśpiewał na poły mówiąc:

Czemże jesteś o miłości,
Co to jest kochanie?
To uczucie nie ziemskości
Co sprawia krwi granie.—

Głos jego milkł, a po paru minutach zaszepcze dziewczyna: „Miłość, co to jest? Czem że jest kochanie”. Niezawodnie coś podobnego już gdzieś słyszeli może z estrady... Zanuca i zamilkną. Ona niebacznie pozostawi rękę na oparciu krzesła, telegrafista ujmie jej dłoń i znów zcicha zanuca...

Na dworze ciepła wiosenna noc...

Spędzili tak całą dobę we dwoje. Wtedy nie na żarty to mi się naprzykrzyło, a teraz, wiesz, wspominam to ze wzruszeniem. Kochali się. W odpowiedni sobie sposób wyrażali swoje uczucia... odkąd one trwały, jak długo, mniejsza... Później dopiero pojąłem, co to jest za wielkie szczęście, jakież to jasny był promień w ich szarem, smutnem życiu, jeszcze więcej ograniczonym i smutnem, niż to nasze!... Zresztą... Pozwól, Romaszow, o czem to ja mówiłem?... Cóż tu telegrafista...

Nazański podszedł do szafki; tym razem jednak nie pił, lecz, zwróciwszy się plecami do Romaszowa, pocierał ręką czoło.

W tym nerwowym ruchu było coś smutnego, coś bezsilnego.

— Mówiłeś o miłości, o kobiecie, o tajemniczości nieskończonej—przypomniał mu Romaszow.

— Tak, miłość! — zawołał Nazański drżącym głosem.—Szybko wychylił kieliszek wódki i odszedł z iskrzącym się wzrokiem.

— Miłość. . kto ją rozumie, kto? Uczynili z niej temat dla błazeńskich sztuk, dla operetek, dla cynicznych sztuchów! Dużo w tem i naszej, oficerskiej zasługi! Był u mnie wczoraj Ditz. Siedział

gdzie ty teraz. Bawił się swoim złotem *pince-nez* i mówił o kobietach. Kochany Romaszko, gdyby psy rozumiały mowę ludzką, gdyby choć jeden słyszał Ditz'a, uciekłby stąd ze wstydu, z samego wstydu! Wiesz przecie, Ditz człowiek dobry, wszyscy zresztą są dobrzy, złych ludzi niema. Ale ot, taki Ditz wstydzi się inaczej mówić o kobietach jak tylko cynicznie. Nie chce tracić renomy bezwstydnika—pogromcy. Ja dostrzegam w tem oszustwo, nieporozumienie, poprostu wypaczenie widzę, jakąś idiotyczną młodzieńczą szczytność. A wszystko to stąd pochodzi, że dla wielu posiadanie kobiety, bezgraniczne posiadanie jest czemś zwierzęcem, egoistycznym, niskiem, nikczemnem do dyabła! Stąd to także wślad za posiadaniem idzie obojętność, niezadowolnienie. Dlatego też ludzie dla miłości noc poświęcają tak samo jak dla kradzieży, albo zabójstwa. Tutaj, mój drogi, natura zasadzkę na ludzi zrobiła, zasadzkę z przynętą i pętlą.

— Masz słuszność—cicho, smutno zgodził się Romaszow.

— Nie, nieprawda! — głośno zawołał Nazański.—Mówię ci, że nieprawda. Natura rozporządziła wszystkim genialnie. Rzecz tylko w tem, że dla takiego Ditz'a za miłością pójdzie przesyty, a dla Dantego cała miłość jednym przepychem, czarem, wiosną! Mówię o miłości, pojmując ją w najzwyczajniejszy zmysłowy sposób. Tylko, tylko, widzisz, uczucie to wybrańcom służy. Tak jak wybrańcem tonów jest Beethoven, jak inni są wybrańcami poezyi, sztuki, tak są też i wybrańcy miłości. Jednostki...

Podszedł do okna i, oparłszy głowę o ramę, patrząc w zadumie w głąb ciemnej, spokojnej nocy, drżącym, głębokim, przenikliwym głosem mówił:

— O, jakże nie umiemy ocenić jej delikatnych, niepochwytanych piękności. Jesteśmy gruboskórzy, krótkowidze... Czy pojmujesz, ile szczęścia, ile czaru w męce nierozłącznej beznadziejnej miłości? Kiedy byłem młodszy jedno tylko we mnie tkwiło po-

żądanie: zakochać się w jakiejś niedoścignionej kobiecie, niezwyklej, w takiej, z którą nic, nic mnie wiązać nie może. Zakochać się i całe życie, wszystkie myśli jej poświęcić. Kimkolwiek być dla niej: sługą, stangretem i starać się wszelkimi sposobami bodaj raz w rok widzieć ją, całować ślady jej stóp na schodach, starać się choć raz dotknąć tyłko jej szat.

— I skończyć obłędem — pośępnie rzekł Romaszow.

— Ach mój drogi, czyż to nie wszystko jedno! — odparł wybuchowo Nazański, rozpoczynając nerwową przechadzkę po pokoju. — A może, może właśnie wtedy dopiero jest prawdziwe życie? Dobrze: wpadnieś w obłęd z zadziwiającej, niezwyklej miłości, a porucznik Ditz z paraliżu i fatalnych chorób. Cóż lepsze? Pomyśl tylko, co to za szczęście stać całą noc po drugiej stronie ulicy, w cieniu, i patrzeć w okno kobiety ubóstwianej. Oto świeci się u niej w pokoju, po storze przemyka cień. Czy nie jej? Co robi, co myśli ukochana? Światło gaśnie. Spij cicho, radości moje, spij skarbie mój!... Ona, ona nic nie wie, że jest kochaną, że każdy jej przedmiot jest drogim. . Ona cię nie zna, nigdy o tobie nie dowie się, nie posłyszysz jako o kochającym, który gotów jest oddać za nią, nie, za jej kaprys, za męża, za ulubionego człowieka, psinę, że gotów oddać życie całe, wszystko, co tylko dać można! Romaszow, takich rozkoszy nie znają i nie zaznają nigdy cynicy zawodowi.

— Jakież to prawdziwe. Jak pięknem jest to, co mówisz, — wykrzyknął poruszony Romaszow.

Dawno już zeszedł z okna i wraz z Nazańskim chodził po pokoju, raz wraz spotykając się z przyjacielem i zatrzymując się z nim.

— Co za myśli snują ci się po głowie! Powiem ci coś o sobie. Kochałem się w jednej... kobiecie. To nie było tutaj, nie tutaj, lecz w Moskwie... byłem wtedy... junkrem. O mojej miłości

ona nic nie wiedziała. Dla mnie rozkoszą, czemś cudownem wprost było siedzieć przy niej i, jeśli robiła jakąkolwiek ręczną robotkę, brać cichaczem nić, by ją ciągnąc leciutko ku sobie. Nie spostrzegła tego, zupełnie nie spostrzegła, gdy ja tymczasem przepelniony byłem słodyczą, bezwyrazowym czarem.

— Rozumiem, rozumiem — kiwał głową Nazański, łagodnie się uśmiechając. — Rozumiem cię. To coś w rodzaju prądu elektrycznego. Tak? Co za delikatniutki obcowanie! Ach, mój drogi, życie jest tak piękne, takie piękne!..

Nazański zamilkł, porwany własnymi myślami; oczy jego zwilgotniały i rozbłysły dziwnym ogniem Romaszowa również otuliła jakaś tęsknota z nieco historycznym rozczuleniem. Obaj jedno to samo wyczuwali.

— Bazyli Nikolajewiczu, podziwiam cię — rzekł Romaszow, ująwszy za obie dłonie Nazańskiego, — podziwiam, ty z taką głową, z takimi uczuciami... jakby umyślnie gubisz się. O, nie, nie mam zamiaru moralizować... sam przecież... Ale, gdybyś spotkał w swoim życiu kobietę, która potrafiłaby cię ocenić, często myślę o tem!

Nazański zatrzymał się i długo, długo patrzył w otwarte okno.

— Kobieta... — rzekł wolno, w zadumie. — Tak! Opowiem ci, — zawołał nagle ze stanowczością. — Jeden, jedyny raz spotkałem się w życiu z cudowną, niezwykle kobietą. Z dziewczęciem. . ale wiesz, jak to u Heinego: „ona była godną miłości i on ją kochał, lecz on jej nie był godnym, ona więc go nie kochała”. Rozmawiała się we mnie dlatego tylko, że piję — i dziś nie wiem, może właśnie to jest przyczyną mego pijaństwa. Ona.. jej także tutaj nie ma; było to bardzo dawno. Wiesz przecie, służyłem trzy lata, byłem później zapasowym i znów wstąpiłem do wojska. Nie było pomiędzy nami romansu. Wszystkiego dziesięć, piętnaście spo-

64
tkań, pięć, sześć razy dłużej rozmawialiśmy. Ale czyś ty myślał kiedykolwiek o przeszłym, które potrafi mocno przykuć do siebie? Ot, w tych drobiazgach rozsnutych kiedyś między nami całe moje bogactwo. Kocham tę kobietę dotychczas. Zaczekaj, Romaszow, jesteś wart tego... przeczytam ci jej jedyny list, który od niej otrzymałem.

Przykleknął koło kuferta i zaczął przewracać w nim rozmaite papiery, mówiąc jednocześnie:

— Dajmy na to, ta kobieta nikogo nie lubiła z wyjątkiem siebie samej. Miała w sobie ogrom miłości własnej, jakiejś złej, dumnej siły. Mimo to była dobrą, prawdziwie kobiecą, bezkrajcowo-miłą. Ot dwaj ludzie:—jeden egoista, suchy—drugi miękki, o delikatnem uczuciu — to ona. Początek mało ciekawy. — Nazański przewrócił stronicę... — Ztąd czytaj...

Coś, jakby zewnętrznego, uderzyło nagle Romaszowa, że pociemniało mu w oczach, a cały pokój zakręcił się. List był pisany dużemi nerwowemi literami, charakter pisma wskazywał jedną osobę — mogła nią być tylko ona, Aleksandra Petrowna — tak był ten list elegancki i niedbały. Romaszow, który otrzymywał często od niej zaproszenia na obiad czy winta, odrazu go poznał, odrazu był pewny, że nikt inny tylko ta kobieta pisała go:

„...Z goryczą i ciężko przenoszę tę chwilę. Ale pan sam zrobiłeś wszystko, aby naszą znajomość doprowadzić aż do takiego smutnego końca. Najwięcej w życiu wstydzę się kłamstwa, mającego swój początek w tchórzostwie i niemocy i dlatego kłamać nie chcę. Kochałam pana, dotąd go nawet kocham, przekonana, że nie łatwo będzie mi wyrzec się tych uczuć, jakie żywię. Koniec końców przewzycięzę je. Cóżby się stało, gdybym postąpiła inaczej? Prawda, miałabym może dość sił, aby zostać siostrą miłosierdzia, opiekunką bezwolnego, moralnie upadłego człowieka, lecz nienawidzę litości

65
i przebaczenia, nie chcę abyś pan wzbudzał we mnie podobne uczucia. Nie chcę, abyś pan żądał jałmużny, łaski... Innym pan być nie możesz, mimo rozumu, mimo piękna swej duszy. Powiedz szczerze, prawdziwie, nie możesz być innym? Ach, drogi Wasyli Nilycz, gdybyś mógł! Gdyby!... Moje serce, wszelkie me pragnienia lgną do pana, kocham cię! Pan sam jednak nie chciałeś mnie. Dla ukochanego człowieka wszystko można poświęcić — ja tak nie wiele żądałam. Pan nie możesz? Zegnaj mi więc. Całuję cię w czoło... jak umarłego, boś pan umarł dla mnie. List niniejszy radzę zniszczyć. Nie dlatego, abym się miała czegokolwiek obawiać, ale dlatego, że list ten będzie dla pana z czasem źródłem tęsknoty i męczących wspomnień.
Powtarzam raz jeszcze...”

— Dalej niema już co czytać — rzekł Nazański, odbierając Romaszowowi list. — To był jeden jedyny jej list do mnie...

— A cóż potem? — z trudnością zapytał Romaszow.

— Później, potem więcej nie widzieliśmy się. Ona... ona wyjechała gdzieś i zdaje się, wyszła zamąż za... jednego inżyniera.

To zresztą rzeczy drugorzędne.

— I nigdy nie bywasz u Aleksandry Pietrowny?

Słowa te wymówił Romaszow prawie cicho; obaj oficerowie drgnęli na ten szept i długo przenikali się wzajemnie oczyma.

Przez te kilka sekund, jakby zniknęły między niemi wszelkie zapory ludzkich podstępów, wszelkie udawanie; czytali obaj swobodnie w swoich duszach. Zrozumieli odrazu setki rozmaitych rzeczy, tajonych dotąd przed sobą, a ich cała dzisiejsza rozmowa stała się niezwykłą, głęboką, jakby czemś tragicznem.

— Co? I ty także — szeptem, z wyrazem obłą-

dnego strachu w oczach rzekł wreszcie Nazański. Lecz w tejże chwili opamiętał się i śmiejąc się fałszywie, zawołał:

— Ech, co za nieporozumienie! Zupełnie oddaliliśmy się od tematu. List, który ci pokazywałem był pisany lat temu sto w tył, a kobieta, która mi go przysłała mieszka na Kaukazie... Zatem, na czem to stanęliśmy?

— Czas mi już do domu, Wasylu Nikolajewiczu. Późno—rzekł Romaszow, podnosząc się.

Nazański nie zatrzymywał go. Póznegli się ani chłodno, ani obojętnie, raczej wstydząc się jeden drugiego.

Romaszow przekonany był teraz jeszcze bardziej, że list pochodził od pani Oli. Idąc do domu, ciągle o tem myślał, nie mogąc dojść, jakie uczucia rozbudzone zostały w jego duszy.

Miała nim zazdrość i nienawiść dla Nazańskiego, zazdrość chwil przeszłych, jakieś tryumfujące zła, żalność dla Nikolajewa, a jednocześnie czuł on nowe, nieokreślone, mętne nadzieje, pociągające słodyczą.

Ten list, zda się, dawał mu w dłonie jakąś tajemniczą, niewidzialną nić, która się snuła w przyśrodku...

Wiatr zcichł.

Głęboka cisza przenikała ciemną, ciepłą noc. Tajemne, twórcze życie drgało w przestworzach bezsennych, w spokoju niewidzialnych drzew, w zapachu ziemi.

Romaszow szedł, nie widząc drogi; zdawało mu się, że jakaś moc łagodna owiewa mu twarz ciepłym tchnieniem.

W tej chwili żałował głęboko swych lat dziecinnych takich jasnych, takich świetlanych; w tej chwili tęsknił za minionem...

Kiedy powrócił do domu zastał u siebie drugi list od Raisy Aleksandrówny Peterson. Czyniła mu gorzkie wyrzuty, że ją nikczemnie oszukuje; pi-

sała, że rozumie wszystko, grożąc okropną zemstą rozbolełego swego serca.

...Wiem, co mi pozostaje! Jeśli nie umrę na suchoty z powodu twego podłego postępowania, to, proszę wierzyć, okrutnie się za wszystko odplacę. Sądzisz, że nikt nie wie, gdzie przepędzasz wieczory! Ślepcze! I ściany mają uszy! Wiem o każdym twoim kroku! Z piękną swoją wymową *tam* nic pan nie uzyskasz—a jedno chyba, że Nikolajew wyrzuci cię za drzwi, jak psa. Co do mnie zaś, pamiętaj, trzeba się mieć na ostrożności! Za podłe czyny potrafię się mścić!

Urodzona na Kaukazie
Władać kindżałem potrafię!

Dawniej twoja, a teraz niczyja

Raisa.

P. S. Proszę być w tę sobotę na zwykłym naszym zebraniu w klubie. Musimy wszystko wyjaśnić. Zostawiam dla pana trzeciego kontredansa, ale bez żadnego, najmniejszego ubocznego znaczenia.

R. P.“

Czemś wstrętnem ten list był dla niego. Głupota, prowincjonalne błotko, plotkarstwo wyzierało zeń. Romaszow sam ujrzał siebie pogrążonym w błocie, którego źródłem była owa łączność z kobietą niekochaną, stosunek ciągnący się blisko już pół-roku.

Położył się spać zdrczony, przygnębiony całym dniem dzisiejszym. Usypiając, pomyślał o sobie, cytując szeptem frazes, zasłyszany wieczorem, a wypowiedziany przez Nazańskiego.

„Myśli jego tak były szare, jak sukno żołnierskie”...

Wkrótce ciężko, twardo zasnął. I tak jak często zdarzało się w ostatnich czasach, po chwili

lach wielkiego rozgoryczenia, ujrzał się we śnie małym chłopcem. Nie było nic z tego, co przeżywał. Brud, jednostajność, tęsknota dalekimi były od niego, życie niezmaczone, jasne, dusza pełna nadziei, świeżości, młodzieńczego ognia... Świat cały widział pięknym, nieskazitelnym... majaczyły mu się ulice Moskwy, dobrzy, mili znajomi.

Gdzieś, gdzieś na krańcach tego cudownego świata na horyzontach widniało ciemne piętno, plama złowieszcza: utajona w niej była szara, nędzna miejscina wraz z ciężką, przykrą służbą wojskową, z rotami szkołami, z pijaństwem klubowem, z ciężarem wstrętnego stosunku, gdzie ból, ból jeno waleśał się i samotność.

Wokoło życie drgało radością, tchnęło weselem, a ciemne, tajemnicze, złowróżbne piętno, jak straszny znak, wisiało nad Romaszowem wyczekując swojej kolei.

Romaszow—dziecko—mały, niewinny bez trosk chłopczyna płakał gorzko, przeczuwając przyszłość, przeczuwając, że piętno to będzie udziałem jego losu, piętno, ku któremu szedł, szedł...

Obudził się wśród nocy i spostrzegł, że poduszka jego zalana była łzami. Tych łez nie mógł powstrzymać — płynęły one policzkach długo... długo...

VI.

Z wyjątkiem niewielu ambitnych i karyerowiczów, wszyscy prawie oficerowie spełniali służbę swą jako coś musowego, nieprzyjemnego; jako wstrętną pańszczyznę, męcząc się i nie lubiąc jej. Oficerowie młodzi, zupełnie jak uczniowie, spóźniali się na swoje zajęcia, cichaczem wymykali się z nich, gdy tylko wiedzieli, że nic im za to nie będzie. Dowódcy rot, po większej części ludzie mający rodziny, pogrążeni w domowych drobiazgach oraz w śledzeniu za romansami własnych żon, przybici, przydużeni okropnym brakiem i życiem po nad stan, gnębili się z powodu niepomiarnych wydatków oraz weksli. Pożyczali pieniądze w jednym miejscu, by płacić w innym pożyczki; wielu bardzo decydowało się, i to najczęściej, ulegając żądaniom swoich żon, na pożyczki z sum, należących do roty, albo z pieniędzy, zarabianych przez żołnierzy na najemnictwie prywatnem podczas wiosny, lata lub jesieni, zatem z pieniędzy żołnierskich; byli i tacy, co miesiące, lata czasami wstrzymywali pieniądze wysyłane z domów przez rodziny tym, którzy pełnili służbę wojskową. Listy te według prawideł winny były być oddawane natychmiast. Byli oficerowie, żyjący tylko z winta, sztosu albo landsknechta; ten i ów grywał oszukując — o tem wiadano, patrząc jednak

na to przez palce. Wszyscy pili już to w klubie. już to jeden u drugiego lub też jak Sliwa — w samotności.

Z tych to względów oficerowie nie mogli się zajmować odpowiednio swemi obowiązkami. Cały mechanizm rot polegał na feldfeblu; — on prowadził wogóle kancelaryę i nieznacznie, acz mocno, trzymał komendanta w swych żyłastych, doświadczonych rękach.

Komendanci spełniali służbę swą z takimże wstrętem jak i młodszy oficerowie, obchodzili się z tymi ostatnimi ostro tylko dla jakiejś takiej dyscypliny, a najczęściej z własnej samolubnej głupoty.

Komendanci batalionowi, brygad zupełnie nie nie robili, szczególnie zimą. Ci naczelnicy nigdy niczem się nie zajmowali. W lecie cośkolwiek mieli jeszcze do czynienia, musieli bowiem brać udział w nauce batalionów pułkowych i zajęciach dywizyjnych oraz podczas manewrów. Cały zaś wolny czas przesiadywali w klubie, czytali „*Inwalida*” i kłócili się o rangi, grali w karty, z ochotą przyjmowali zaproszenia na wieczorki dawane przez młodszych oficerów; urządzali u siebie zebrania, starając się wydawać zamaż liczne swe córy.

Przed wielkimi manewrami wszyscy, bez wyjątku, pilnowali się ostro swoich zajęć. Ani chwili nie mieli wypoczynku, doganiając energicznie, choć bezmyślnie, to wszystko, co było opuszczone.

Nie liczone się wcale z siłami żołnierzy, doprowadzając ich do zupełnego znużenia. Komendanci rotni okrutnie się znęcali nad młodszymi oficerami, sadzali ich na odwach; oficerowie młodszy wymyślali sobie wzajemnie w najokropniejszy sposób; podoficerowie, ochrypnięci od klątw bili się między sobą. Zresztą nietylko podoficerowie. Owe dni były prawdziwym piekłem, o wytchnieniu niedzielnem każdy myślał jak o raj, począwszy od komendanta a skończywszy na zamęczonym *deusz-czyku*.

Toż się działo przed każdym przeglądem.

Tej wiosny przygotowywano się do rewii bardzo usilnie. Miała ona nastąpić w maju.

Wiadomem było powszechnie, że na ten przegląd wojska zjedzie dowódca korpusu, ogromnie wymagający generał liniowy znany w literaturze wojskowej ze swych szkiców o wojnie Karlistów i francusko-pruskiej kampanii z 1870 roku, w której brał udział w roli wolontaryusza. Większą sławą jeszcze cieszyły się jego rozkazy napisane w lapidarnym, suworowskim duchu. Na podwładnych, którzy cośkolwiek zawinili, rzucał się z jadowitym sarkazmem, bardziej sięjącym obawę wśród oficerów, niż jakakolwiek kara dyscyplinarna. Z tej to przyczyny gorączkowo pracowano w rotach. Od dwóch tygodni, z pośpiechem gotowano się i dzień świąteczny był przez zamęczonych oficerów, oszalałych, ogłupiałych żołnierzy, oczekiwany z najwyższą niecierpliwością.

Dla Romaszowa, z powodu aresztu, przepadał wypoczynek. Podporucznik obudził się dość wcześnie i nie mógł już zasnąć. Ubierał się leniwie, pił herbatę bardzo powoli i ze wstrętem, często wymyślając na Hajnana, który ze swoim wesołym usposobieniem, ruchliwością niezdatną przypominał młode szczenię.

Zawadzając nogami o sprzęty, chodził Romaszow po swoim pokoju. Po raz pierwszy od półtora roku i to dzięki nieszczęśliwemu trafowi pozostawał sam z sobą. Dotąd miał czas zwykle zajęty. Służba, dyżurstwa, klubowe zebrania, gra w karty, stosunek z Raisą Peterson, wieczory u Nikołajewych wypełniały wszystkie chwile, a jeśli zdarzyła się godzina wolna, Romaszow męczony bezczynnością, niewytłomaczoną jakąś obawą przed samym sobą, uciekał albo na ulicę, do klubu, albo do znajomych. Szukał jakiegokolwiek towarzystwa, a jeśli znalazł je w osobie któregoś z młodych ko-

legów, szedł z nim najczęściej pić. Teraz z rozpaczą medytował nad swą samotnością. Głowę przepełniały dziwne, zupełnie niepotrzebne rozmyślenia.

W miasteczku dzwoniło na sumę. Przez zamknięte okno dobiegały Romaszowa odgłosy ewangelicznie rozdrżane, jakby snujące się jedne z drugich, przeniknięte jakimś smutnem, wiosennem tchnieniem.

Za oknem ciągnął się ogród, w którym rosło mnóstwo czereśni. Białośnieżne te drzewa podobne były do dziewcząt w białych szatach. Tu i owdzie z pomiędzy rozkwieconych drzew strzelały wysokie topole o rozmodlonem wejrzeniu. Zapatrzone w niebo okrągłemi wierzchołkami rosły stare kasztany bezlistne, ledwo dostrzegalne, pokrywające się dopiero zielonawym puszkciem.

Ranek był jasny, świetlisty. Drzewa się lekko chwiały. Czuło się, że między nimi błąka się wietrzyk, że płąsa wśród konarów, wśród kwiecica, które pochylając, całuje.

Z okna na prawo była widoczna część brudnej ulicy i kawałek płotu. Koło niego, starannie omijając błoto, wolno przechodzili ludzie. „Cały dzień mają przed sobą,—myślał Romaszow, patrząc z zawiścią na idących, — dlatego nie śpieszą się. Caluteńki dzień mają wolny!”

Nagle, gwałtownie zapragnął wyjść na ulicę. Nie klub go ciągnął, nie towarzystwo, przechadzka prosta. Zdawało się, jakby dotąd nie pojmował wartości swobody i sam się teraz dziwił, ile szczęścia jest w możności rozporządzania każdą chwilą, ile szczęścia jest, kiedy się może pójść w jakikolwiek zaułek, na jakikolwiek plac, do kościoła i robić to wszystko bez wszelkiej bojaźni. Podobna wolność wydała mu się na raz ogromnem, olbrzymiem wprost szczęściem, wielkiem świętem duszy.

Przypomniało mu się raptem, jak to w dzieciństwie jeszcze, matka karała go, przywiązując

cienką nitką do łóżka, a sama wychodziła. Maleńki Romaszow, uwięziony w ten sposób, z pokorą wysiadywał całe godziny. Ani na sekundę nie zastanawiał się nad tem, by uciec na cały dzień, bodajby przyszedł spuszczać się z drugiego piętra po rynnie. A uciekał często, gdy nie był przywiązany. Biegł na drugi koniec Moskwy, idąc za muzyką wojskową, albo czymś pogrzebem. Dla towarzyszków, których często spotykał po drodze, kradł cukier, konfitury i papierosy. Lecz jeśli był przywiązany nitką—wtenczas, o — wtenczas ani się ruszył; nie go hypnotyzowała. Obawiał się wyprężyć ją nawet, aby nie pękła. Ani strach, ani też obawa kary czy żal, lecz poprostu hypnoza działała na niego, coś w rodzaju przerażenia na myśl o potężnych, niedoścignionych mocach dorosłego, coś w rodzaju głębokiego szacunku dzikusa, jaki żywi dla magów, dla szamanów.

— Siedzę ot jak uczeń, jak chłopczyzna nitką przywiązany,—myślał Romaszow, chodząc po pokoju. — Drzwi otwarte, mam chęć wyjść gdzie bądź, cośkolwiek robić, mówić, śmiać się, a siedzę. To ja siedzę. Ja. To jest — Ja! Kazano siedzieć mi. Ja nie dawało swego pozwolenia.

— Ja! — Romaszow zatrzymał się pośrodku pokoju i zadumał się bardzo głęboko — Ja! Ja! Ja! — raptem wykrzyknął głośno, ze zdziwieniem, jakby po raz pierwszy zrozumiał dopiero to krótkie słówko. — Któż tu stoi na środku pokoju i patrzy na podłogę? To — Ja. O, jakież to dziwne!.. Ja-a, przeciągnął wolno, wnikając całym sobą w ten dźwięk.

Uśmiechnął się z roztargnieniem, lecz wnet spochmurniał, poblądł z powodu silnego naprężenia myśli.

Coś podobnego wydarzało mu się często przez kilka ostatnich lat. Dzieje się to zresztą nieraz, gdy dusza młodzieńca dojrzewa. Najzwyczajniejsza

prawda, słówko, zdanie, to, czego zawartość oddawna jest znaną, nagle, dzięki jakiemuś raptownemu, silnemu oświeceniu, przybiera jakieś filozoficzne znaczenie, a wtedy zdaje się, że — dopiero bywa pojmowane. Romaszow pamiętał kiedy to zaznał takiego uczucia po raz pierwszy. W korpucie duchowny roztrząsał przypowieść o pracownikach. Jeden z nich nosił z początku małe kamienie, a potem przystąpił do dużych i ostatnich znieść nie miał sił; drugi pracował naodwrot — zrazu duże, a potem małe nosił i zrobił, co doń należało.

Przypowieść ta uderzyła Romaszowa głębią praktycznej mądrości, ukrytej w opowiadaniu. Tak samo było ze znanym przysłowiem: „siedem razy odmierz, a za jednym odetnij.” Momentalnie zrozumiał treść tego przysłowia: wyrozumienie, sięganie daleko wzrokiem, ostrożność, zabiegi, liczenie się z siłami. Wielkie życiowe doświadczenie było z tych kilku słów. I teraz ot, porwało go oszołomienie nakazując roztrząsać poznanie własnego indywiduum.

— Ja—to wewnątrz—myślał Romaszow — cała reszta... rzecz drugorzędna, to nie Ja. Ten pokój, ulica, drzewa, niebo, komendant pułku, porucznik Andusiewicz, służba, chorągwie, żołnierze — to wszystko nie Ja. Moje ręce, moje nogi, — Romaszow ze zdziwieniem spojrzął na ręce, jakby je po raz pierwszy widział, — nie, nie to nie Ja. A ot uszczypnę się w dłoń... ot, tak, ot... i to czucie pochodzić będzie z Ja. Widzę rękę, podnoszę ją... to będzie Ja. Myślenie moje, to moje Ja. Ruch mój... to moje Ja. Zatrzymuję się... zatrzymuje się moje Ja”. Ó, jakież to dziwne, takie zwykle, a zdumiewające. Być może, że wszyscy mają Ja, albo i nie wszyscy? Może ja mam tylko to Ja? — A jeśli jest ono i u innych? Stoi naprzykład przedemną setka żołnierzy, krzyczę im — „zwrot na prawo!” — i stu ludzi, z których każdy ma swoje Ja

i widzi we mnie obce im zupełnie Ja, naraz zwraca głowy na prawo, lecz ja nie odróżniam jednego od drugiego, widząc w nich masę... Dla pułkownika Szulgowicza, bardzo być może, że ja i Wietkin, wszyscy oficerowie, kapitanowie łączą się w jedność obcą mu również?!

Otworzyły się gwałtownie drzwi i do pokoju wpadł Hajnan. Podrygując na miejscu, wzruszając ramionami, zawołał:

— Wasza cześć. Bufetowy nie chce dawać więcej papierosów. Powiedział, że porucznik Skrjabin nie pozwala kredytować.

— Dyabliż nadali — mruknął Romaszow. — No idź, idź sobie... Cóż pocznę bez papierosa?.. Ha, trudno, możesz odejść Hajnan.

— O czym to ja myślałem — pytał samego siebie Romaszow, po wyjściu żołnierza. Zagubił nagle tok medytacji i nie mógł go zrazu odnaleźć, będąc nie przyzwyczajonym do logicznego następstwa w rozpamiętywaniach”.

— Zaraz muszę wrócić do początku... Jestem w areszcie... na ulicy chodzą ludzie... w dzieciństwie przywiązywała mnie matka... *Mnie* przywiązywała... Żołnierz „a swoje — Ja... Pułkownik Szulgowicz... przypominam sobie wszystko — zatem dalej, dalej... Siedzę w pokoju. Jestem niezamknięty. Chcę i nie mam odwagi wyjść. Dlaczego nie śmiem? Czy zrobiłem jakiegokolwiek przestępstwo, złodziejstwo, zabójstwo? Nie, mówiąc tylko z innym człowiekiem stałem, nie trzymając nogi przy nodze i coś mu powiedziałem. Może powinienem był trzymać nogę przy nodze? Dlaczego? Czyż to jest takie ważne, czyż to jest najważniejsze w życiu? Przemienie dwadzieścia, trzydzieści lat, jedna sekunda w czasie, który był przedemną, będzie po mnie... Jedna sekunda! Moje Ja zgaśnie jak gaśnie lampa, gdy ją przykręca. Lecz lampę znowu zapalą, a *Mnie*, mego Ja już nie będzie. I nie będzie ani pułku,

ani wojska, ani gwiazd, ani ziemi, ani wód, rąk moich. Dlatego, że nie będzie mego Ja. Tak... tak.. Bardzo dobrze—tak... tak... wolno—tylko pozwoli myśleć—dalej... Mnie nie będzie. Było ciemno, ktoś wskrzesił moje życie i zgasił je, a ciemności na nowo powstały. Cóż ja robiłem przez ten krótki czas? Trzymałem ręce przy sobie, nogi razem, z nosem na kwintę maszerowałem i krzychałem z całych sił „na ramię,” wymyślałem i wściekałem się, gdy źle noszono broń... Po co to? Wszystkie te urojenia, które się skończą wraz z moim Ja, zmuszały mnie robić tysiące niepotrzebnych, nieprzyjemnych rzeczy, za które ileż razy znieważano to moje Ja! Dlaczegoż więc ono posłuszne było tym urojeniom?”

Romaszow usiadł przy stole, oparł głowę na rękach i zadumał się, z trudnością wstrzymując tok niezwykłych dla siebie myśli.

— Hm... zapomniałeś? Ojczyzna? Proch ojców? Ołtarze? A honor wojskowy i dyscyplina? Któż będzie bronił ziemi rodzinnej przed nieprzyjaciółmi?.. Tak, ale ja umrę i nie będzie więcej dla mnie ani ojczyzny, ani honoru, ani wrogów. Wszystko to istnieje dopóki istnieje moje poczucie. Ale wszystko to może zniknąć, gdy tymczasem moje Ja zostanie, zatem ono jest najważniejsze wśród tych pojęć o obowiązku, o czci, o miłości? Oto służę... Moje Ja nagle powie: nie chcę! Nie, nietylko moje Ja, ale więcej... miliony ich, które tworzą armię, nie, jeszcze ich więcej—wszystkie Ja całego świata, powiedzą nagle: nie chcę! W tej chwili wojna każda będzie bezsensowną, i nigdy, nigdy nie będzie tego „szeregi zdwój,” „pół obrotu na prawo”—dla tego, że to już potrzebne nie będzie... Tak, tak, tak! To prawda, to prawda! — potwierdził Romaszowowi, głos wewnętrzny. Cała ta służba wojsko-

wa, dyscyplina, istnieje tylko dlatego, że ludzie nie chcą powiedzieć „nie chcemy” — dlatego, dlatego!

— Cóż to jest owa machina wojskowości, cały ter gmach, to rzemiosło? Nic, bańka, gmach wiszący w powietrzu, oparty jest nie na słowach „nie chcę” a tylko na tem, że te słowa dotąd nie były wypowiedziane. Nigdy nie powie moje Ja: „nie chcę jeść, oddychać, widzieć.” Lecz jeśli mu każą umrzeć, bezwzględnie powie „nie chcę.”

— Czem-że jest więc wojna z jej tysiącami śmierci, czem nauka sztuki wojskowej, wysiłająca się na najlepsze zabijanie? Błąd wszechświatowy? Zależnienie?

— Nie, zaczekaj... Sam się zapewne mylę! Nie może być inaczej, ponieważ to „nie chcę” jest takie proste, tak naturalne, że od razu przychodzi na myśl. Rozstrząśnijmy to. Dajmy na to, w jednej sekundzie wszystkie państwa: Rosya, Niemcy, Anglia, Japonia wyrzekną to „nie chcę.” I ot nie będzie ani oficerów, ani żołnierzy. Cóż będzie wtedy? Wiem, Szulgowicz by mi odparł: przyjdą razem inni i zabiorą posiadane ziemie, uwiadą w jasyr żony i siostry. A bunty, a socjaliści? Rewolucya?.. Nie, nie — to nie prawda. Przecież cała ludzkość powiedziała nie chcemy rozlewu krwi. Któż wtedy chwyci za broń, któż będzie czynił gwałty? Nikt. Cóż się więc stanie? Czy będzie ogólny pokój? czy wszyscy podzielą się, czy nastąpi ogólna zgoda? Boże, cóż to będzie?

Romaszow zajęty swemi myślami nie spostrzegł jak do pokoju wszedł Hajnan i podszedł do niego.

Drgnął.

— Czego chcesz, do dyabła!.. krzyknął.

Hajnan położył przed porucznikiem paczkę papierosów.

— Przyniosłem, wasza cześć—rzekł familjar-

nie, łagodnie. Romaszow spojrział na paczkę Papierosy nazywały się „Trubacz,” cena 3 kop. 20 szt.

— Cóż to, po co? — zapytał ze zdziwieniem. — Zkąd wzięłeś?

— Widzę, wasza cześć nie ma papierosów, więc kupiłem za swoje pieniądze. To nic. Ja je daruję waszej cześci.

Zawstydzony Hajnan wybiegł, trzaskając drzwiami. Podporucznik zapalił papierosa. W pokoju zapachniała woń ze spalonych piór i laku.

— O mój drogi — pomyślał wzruszony Romaszow. — Gniewam się na niego, wymyślam mu, krzyczę, każę mu zdejmować nietylko buty, ale skarpetki i spodnie. A on kupił mi papierosów za ostatni nędzny grosz żołnierski. Dlaczego to zrobił i za co?

Romaszow powstał i, założywszy ręce w tył, zaczął chodzić po pokoju.

— Jest ich stu ludzi w naszej rocie. Każdy z nich myśli, czuje, każdy z nich ma swój charakter, swój pogląd, swoje dobro i swoje zło. Czy wiem cośkolwiek o tem wszystkim? Nic, nic za wyjątkiem ich fizjonomii, nazwisk... Oto stoją na prawym końcu: Sołtys, Rjaboszapka, Wiedieniejew, Jegorow, Jaszczyszyn... Szare, jednostajne twarze... Czy robiłem cokolwiek, aby poznać ich dusze? — Nic.

Przypomniał się nagle Romaszowowi jeden z późnych wieczorów jesiennych. Kilku oficerów, a wśród nich on, pili wódkę, w tem przebiegł feldfebel z dziewiątej rotacji Gumeniuk i, zadychając się, rzekł do swego dowódcy.

— Wasza wysoka cześć, przypędzono nowo-
brańców.

Tak, nie inaczej zrobili tylko *przypędzili*. Stali kupą na placu pułkowym i patrzyli niedowierzająco.

z podełba. Każdy miał odrębną fizjonomię. Może to zdawało się tak tylko z powodu różnorodności ubrań?

— Ten, to napewno ślusarz, — przechodząc mimo nich myślał Romaszow, wpatrując się, — a ten musiał być wesolkiem, majstrem od gry na harmonii. Ów zapewne umie czytać, pisać, jest roztropny — czy nie był kiedyś lokajem?”

Widać było, że ich wszystkich rzeczywiście przypędzili, że kilka dni temu z płaczem, rozpaczą żegnały ich kobiety, dzieci, a oni sami pili, chcąc tem przemódz chwilę rekrucką... Przeszedł rok i oto stoją ci wszyscy w długim szeregu martwi szarzy, drewniani — *żołnierze!* Nie chcieli niemi zostać, nie chcieli iść w branke, wiadomo. *Ich „Ja” nie chciało.* Boże, gdzież przyczyny tego strasznego nieporozumienia? Gdzież początek tego węzła? Czyż to nie podobne jest do owego przykładu z kogutem? Przygną kogutowi łeb do stołu, będzie się wzdrygał, ale gdy kredą przez dziób i stół wyruszą linię, ani się ruszy, myśląc, że jest przywiązany.

Romaszow podszedł do łóżka i rzucił się na nie.

— Cóż pozostaje mi zrobić wobec tego? — z jakąś wściekłością zapytał sam siebie. — Tak, cóż mam robić? Porzucić służbę? Cóż ja umiem? co wiem, co będę robił?

Zrazu szkoła, później korpus kadetów, zakład wojskowy a dalej zamknięte życie oficerskie...

Czy znałeś walkę? potrzebę? Nie; żyłeś na chlebie gotowym, myśląc, jak instytutki, że bułki francuskie rosną na drzewach. Sprobuj służbę porzucić — monologował, sprobuj. Zadziobią cię inni natychmiast w życiu samodzielnym. A któryż to z oficerów dobrowolnie porzucił służbę? Żaden. Wszyscy się oficerstwa trzymają, nie będąc do niczego innego przydatnymi. A jeśli i który opuści pułk, chodzą oberwami... *Ayez la bonté*, szanowny

panie, *comprenez vous...*” Ach cóż więc mam zrobić, co czynić!..

— Aresztanciku, aresztanciku! — zadzwęczał pod oknem kobiety głosik.

Romaszow skoczył z łóżka i pobiegł do okna. Tu ujrzał panią Olę. Przyslaniając oczy przed blaskiem słońca, przyłgnęła roześmianą twarzą do okna, mówiąc półspiewnie:

— Pozwól, pozwól mój biedny więźniu...

Romaszow chwycił za antabę, ale przypomniał sobie, że okno zabite. Wtedy, porwany nagłym rozradowaniem, targnął z całych sił ramę. Pękła, obsypując podporucznika kawałkami kitu. Okno zostało otwarte. Powietrze chłodnawe, przepelnione zapachem kwiatów wbiegło do pokoju.

— Oto jak, oto jak trzeba szukać sobie dróg! — wykrzyknął w głębi Romaszow.

— Romaszow! Waryacie! Co pan robisz!

Ujął wyciągniętą ku niemu maleńką rączkę, obciągniętą w jasną rękawiczkę, i śmiało pocałował ją zrazu z wierzchu, a potem pod spodem, przez otwór, znajdujący się po nad guzikami.

Nigdy tego dotąd nie robił, nie zrobiłby i teraz, ale pani Ola bezwolnie, jakby pod wpływem mocy zachwyty, którym gorzały oczy podporucznika, nie sprzeciwiała się pocałunkom, patrząc na niego z uśmiechem pomieszania i zadziwu.

— Aleksandra Pietrowna! Jak mam pani dziękować! Droga!

— Romaszko, co się z panem dzieje? Dlaczego tak się pan uradowałeś? — powiedziała, wpatrując się wciąż w Romaszowa wzrokiem przenikliwym, ciekawym. — Oczy pańskie tak błyszczą... Przyniosłam panu placek, jako aresztantowi. Dzisiaj mieliśmy ciasto z jabłkami. Szczepanie, dawajże przedź koszyk.

Podporucznik patrzył na młodą kobietę rozkochanym wzrokiem, nie wypuszczając z rąk maleńkiej dłoni, czemu się nie sprzeciwiała.

— Ach, gdyby pani wiedziała o czem myślałem całe rano—mówił pośpiesznie—gdybyś pani wiedziała! Ale to później...

— Później — rzekła. Nadchodzi pan mój i władca... Puść pan rękę. Jesteś pan dzisiaj zadziwiający, Jerzy Aleksiejewicz.

Do okna podszedł Nikołajew. Był nachmurzony i dość chłodno powitał Romaszowa.

— Chodź, Oleńka, chodź — nagle zaczął żonę. — Bóg wie, co ty wyprawiasz. Oboje poszaleście. Niech się komendant dowie cóż będzie! Przecież Jerzy Nikołajewicz w areszcie. — Bądź zdrów Romaszow, a pamiętaj pan o nas!

— Tak, proszę—powtórzyła Oleńka. Odeszła od okna, ale natychmiast wróciła i rzekła gwałtownym szeptem.

— Słuchaj, Romaszko, nie zapominaj, nie zapominaj o nas. Pan jesteś jedynym człowiekiem-przyjacielem, pan... Słyszysz. Tylko nie waż się pan patrzeć na mnie... takim... baranym wzrokiem! Proszę, Romaszow... nie przedstawiaj się pan innym niż jesteś. Pan nie jesteś mężczyzną, nie, nie...

VII.

O wpół do czwartej przyjechał do Romaszowa pułkowy adjutant, porucznik Fedorowski. Był to młody człowiek z prezentacją, jak go oceniały panie, wysoki o zimnem wejrzeniu i długich ciemnych wąsach, dorabianych bokobrodami. Bardzo był grzeczny dla młodszych oficerów, lecz niedostępny. Z nikim się nie przyjaźnił i miał bardzo wysokie o sobie wyobrażenie, oraz o stanowisku, jakie zajmował, ciesząc się poważaniem u komendantów rot.

Wszedłszy do pokoju, obrzucił znużonemi oczyma biedną całość.

Podporucznik, który leżał na łóżku, szybko się podniósł i, czerwieniejąc się, począł zapinać surdut.

— Przybywam z polecenia komendanta pułku,— rzekł Fedorowski suchym tonem, — bądź pan łaskaw ubrać się i jechać wraz ze mną.

— Wybacz pan... w tej chwili... forma ubrania zwykła? Wybacz pan, jestem po domowemu.

— Nie krępuj się pan, proszę. Surdut. Jeśli pan pozwoli, spocznę.

— Ach, daruje pan, ależ proszę. Może herbaty?

— Nie, dziękuję. Pośpiesz się pan.

Nie zdejmując palta ani rękawiczek, usiadł

i, dopóki Romaszow ubierał się nieco podniecony, zawstydzony brudną bielizną, siedział bez ruchu, trzymając ręce na szabli.

— Nie wiesz pan, po co mnie wzywają? Adjutant wzruszył ramionami.

— Dziwne pytanie. Zkądże mogę wiedzieć. Pan powinienś chyba lepiej odemnie wiedzieć... Czyś pan gotów? Radzę *portuepée* włożyć pod pagon a nie na wierzch, pułkownik tego nie lubi. No, jedźmy.

Przy bramie stał pojazd zaprzęzony w dwa rosłe, dobrze utrzymane konie. Oficerowie siedli i pojechali. Przez całą drogę Romaszow starał się siedzieć bokiem, przez grzeczność dla adjutanta, aby temu nie było za ciasno, czego, zdaje się, adjutant wcale nie spostrzegł.

Po drodze spotkali Wietkina. Oddał honory adjutantowi i w tejsze chwili obróconemu doń Romaszowowi, zrobił niewidzialny dla adjutanta, humoru pełen gest, jakby mówiący: „cóż bracie, powlekli cię na rozprawę.”

Spotykali ich i inni oficerowie. Jedni z ciekawością, drudzy z szacunkiem, inni z szyderstwem patrzyli na Romaszowa, co nie było dlań rzeczą przyjemną.

Nie odrazu został przyjęty Romaszow przez pułkownika Szulgowicza, który miał kogoś u siebie w gabinecie. Podporucznik musiał czekać w przedpokoju, woniejącym naftaliną, jabłkami, lakierem i jeszcze czemś niemilem, czemś, czem czuć ubrania bogatych, niemieckich rodzin. Chodząc po przedpokoju, Romaszow, poglądał w duże tremo w jasnej ramie. Za każdym razem ilekroć ujrzał się w lustrze, zdało mu się, że jego twarz fatalnie jest błada, nienaturalną, ubranie — zanadto znoszone, a pagony zbyt pomięte.

Z gabinetu dobiegał monotony, głuchy dźwięk niskiego basu pułkownika. Słów się nie słyszało,

ale intonacja głosu wskazywała gniew. Trwało to pięć minut. Pułkownik Szulgowicz nagle zamilkł; rozległ się rozdrżany błaganiem czyjś głos i po pauzie dobiegły Romaszowa następujące słowa, wymówione z pogardą, oburzeniem i szorstkością.

— Co mi pan bredzisz? Dzieci? Żona? Pluję na pańskie dzieci! Zanim je się ma, trzeba myśleć o tem, co im się da jeść. Co? 'Acha, teraz: wybac, wybac pułkowniku. Pan pułkownik w sprawie pańskiej nic a nic nie zawinił. Pan, kapitanie, wiedz, że jeśli pan pułkownik nie oddaje pana teraz pod sąd, to temsamem przestępstwo robię jako władza. Cooo? Proszę milczeć! Nie błąd — a przestępstwo! — Pańskie miejsce nie w pułku, a wiesz gdzie. Hm?!

Znów zadrgał błagalny głos, tak żalony, jakby to nie człowiek mówił.

„Chryste, cóż to jest? — pomyślał Romaszow, który patrzył w tremo i nie widział się, czując tylko jak mu się serce boleśnie ścisza. — Chryste, co za hańba!..”

Żalony głos mówił dosyć długo. Kiedy skończył, znów zabasował pułkownik, ale już spokojniej, łagodniej, jakby Szulgowicz zdążył już cały gniew swój wyrzucić z siebie i zadowolił swą namiętność władzy, obrazem cudzego poniżenia.

Mówił urywkowo.

— Dobrze. Ostatni raz. Pamiętaj pan, ostatni raz. Wyrąb sobie to pan na swoim czerwonym nosie. Jeśli usłyszę o dalszem pańskim pijaństwie... Coo? Ho, znam ja obietnice. Rotę na przegląd przygotować. Nie rota a g... Za tydzień sam przyjadę i zobaczę. A teraz oto moja rada. Wyleź pan z długów zaciągniętych z pieniędzy żołnierskich. Coo? A cóż mi do tego?! Nie trzymam pana — żegnam...

Ktoś się uklonił i pocichu podszedł do drzwi

Tu zatrzymał go udany, surowy bardzo głos pułkownika.

— Zaczekać! Proszę tutaj! Dyabelska pieprzniczko... Polecisz do Żydów? Co? Weksle co? Och głupia głowo! Uch dyabeł! Jeden, dwa—raz, trzy, trzy—cztery—trzysta. Więcej nie mogę. Oddasz, jak będziesz mógł. Fu! Djabli nadali, co za świństwo pan robisz, — ryknął pułkownik — nigdy tego nie rób, to poniżenie! A teraz marsz, marsz, marsz! Do dyabła, żegnam, żegnam!

Do przedpokoju wszedł zбитy, znużony, spocorny mały kapitan Swietowidow. Prawą rękę trzymał w kieszeni, chruszcząc nowiuteńkimi banknotami. Ujrawszy Romaszowa, podbiegł do niego, zaśmiał się nienaturalnie i mocno wilgotną, gorącą, trzęsącą się ręką ścisnął dłoń podporucznika. Jego oczy były zawstydzieniem, jakimś naprężeniem, zmęczeniem, pytająco wpijały się w Romaszowa, jakby się chciały dowiedzieć, czy słyszał cośkolwiek, czy też nie?

— La! jak tygrysa, hehe, — wyszeptał cynicznie, ukazując w stronę gabinetu, ale to nic! — Swietowidow nerwowo przeżegnał się raz i drugi.

— To nic. Chwała ci, Boże, chwała ci, Boże!

— Bon—da—ren—ko! — krzyknął z gabinetu pułkowy komendant. Zamiast dzwonka używał swego potężnego basa, który zdawał się drgać w całym domu i wstrząsać murami, gdy zawołał. — Bondarenko! Któż tam jest jeszcze? Proś.

— A niech-że go — rzekł cicho Swietowidow, krzywiąc się w śmiechu. — Bądź zdrow, poruczniku. Życzę panu łatwiejszego zakończenia...

Z za drzwi wybiegł deńszczyk — typowy pułkownikowski deńszczyk o twarzy łaskawej choć wyrazie ostrym, z włosiem przedzielonym na dwie połówki, z boku, w białych nicianych rękawiczkach. Zwrócił się do podporucznika grzecznie, a zarazem **hardo**:

— Jego wysoka cześć prosi waszą cześć.

Otworzył drzwi do gabinetu i cofnął się, dając możność wejścia Romaszowowi.

Pułkownik Szulgowicz siedział przy stole w lewym kącie od wejścia. Z pod szarego tużurka widoczny był biały, świeży gors. Ręce mięsiste leżały na krawędzi oparcia. Twarz starca, ogromna z siwą szczotką włosów na głowie, z białą klinowatą brodą była surową i chłodną, oczy wypełzły patrzyły wrogo.

Na ukłon podporucznika odpowiedział kiwnięciem głowy. Romaszow dojrzał nagle srebrny kolczyk w uchu starca, wyobrażający półksiężyc z krzyżem. Zobaczywszy kolczyk pomyślał: „tego kolczyka przedtem nie widziałem.“

— Nie dobrze zaczął dowódca sykliwym basem, jakby wychodzącym z głębi jego żołądka, i przerwał.—Wstyd!—rzekł, podnosząc głos,—słyszysz pan rok ledwo, a zaczynasz bruździć! Cóż to ma znaczyć? Dowódca pułku robi uwagę a chorąży, marny chorąży, pozwala sobie głupstwa odpowiadać! Głupota! — ryknął nagle pułkownik tak ogłuszająco, że Romaszow aż drgnął.—Bezsensowność! Zgroza!

Romaszow z przygnębieniem patrzył w bok i zdawało mu się, że żadna siła nie zmusi go spojrzeć prosto w twarz pułkownikowi.

„Gdzież to moje „ja“—zaszeptало mu coś ze szyderstwem. — Oto musisz stać wyciągnięty jak struna i milczeć.“

— Jaką się drogą dowiedziałem, mniejsza o to, wszystko wiem zawsze; i to wiem, że pan rozpijasz się. To obmierzłe! Gołowas, żółtodziób, ledwo z ławy wypuszczony, a pije w klubie jak ostatni szewc! Wiem, wiem o tem, nic się przedemną nie ukryje. Wiem więcej nawet niż pan myślisz. Jeśli pan chcesz coraz niżej się staczać pańska rzecz. Ale wniknij w to, co mówię: zaczy-

nają od kieliszka, by skończyć pod płotem. Wbij pan sobie to w głowę. A potem wiedz — jesteśmy, ale tylko do czasu, cierpliwi. Nie doprowadzaj pan do ostateczności. Pan jesteś jeden, a zespół oficerów to rodzina, zatem można zawsze... tego za ogon i won z pułku!

— Stoje, milczę — myśli Romaszow, a właściwie powinienem powiedzieć, że ta rodzina nie mnie nie obchodzi, że gotów jestem zostać zapasowym. Powiedzieć? Czyż się ośmielę? — Drgnął, serce mu zabiło, zrobił jakiś ruch wargami i — milczał.

— Tak... wogóle pańskie sprawowanie... mówił okrutnym tonem Szulgowicz.—W przeszłym roku ledwoś pan wstąpił do wojska, a już zażądałeś urlopu. Mówiłeś o chorobie matki, pokazywałeś list od niej... Cóż, nie mogę nie wierzyć swojemu oficerowi, rozumiesz pan, *nie mogę*. Matka niech będzie sobie matka... i to się zdarza. Ale ot tak jedno z drugim, a potem...

Romaszow oddawna czuł jak coraz bardziej drżą mu kolana. To drżenie udzieliło się całemu ciału. Było to dla Romaszowa bardzo przykre. Myślał ze wstydem, że to drżenie Szulgowicz będzie uważał jako objaw strachu przed władzą.

Kiedy pułkownik zaczął mówić o jego matce krew uderzyła podporucznikowi do głowy i drżenie ustało. Po raz pierwszy upoczywie z nienawiścią spojrzął na pułkownika; utkwił w Szulgowicza wzrok, twardy, hardy, wzrok, który odrazu zwałął drabinę jakby, będącą pomiędzy maleńkim podwładnym a groźną władzą.

Cały pokój zciemniał raptem.

Silny głos dowódcy zapadł się w jakąś bezdźwięczną głębinę! Nastąpiła chwila ciszy, — bez myśli żadnych, jakaś bezwolna, bezwrażliwa cisza, bez poczucia najmniejszego za wyjątkiem jednej strasznej prawdy, że w tej chwili stanie się coś nierozumnego, okropnego.

Jakiś głos podszeptywał Romaszowowi: — „uderzysz go, uderzysz.” Podporucznik utkwiał oczyma w mięsistej starczej twarzy dowódcy.

Ujrzał naraz, nie pojmując jeszcze tego zupełnie, dziwny odblask spojrzeń Szulgowicza, spojrzeń wyrażających podziw, strach, lęk, żal..

Obłędna, gwałtowna fala, która pochwyliła podporucznika raptem znikła! jak przedtem wezbrała w nim całą mocą, tak teraz ustąpiła. Romaszow, niby ze snu zbudzony, głęboko westchnął.

Wszystko nagle stało się zwykłym, prostym...

Szulgowicz z pewnym niepokojem, gburowatą łaskawością wskazał krzesło.

— Siadaj-że pan... Fu, do diabła! Toś pan obraźliwy. Wszyscyście tacy... Patrzycie na mnie, jak na jakie zwierzę. Wrzeszczy, mawiacie, stary chrzan bez sensu, niechajby go raz czarci zabrali. A ja—bas zadrgał ciepłym tonem, a ja, jak Boga kocham, mój drogi lubię was wszystkich niczem dzieci rodzone. Cóż pan myślisz, że ja nie cierpię za was? Że ja nie boleję, że nie mam uczuć? Ech... rozgorączkowałem się, posunąłem za daleko, ale czyż na starca można się gniewać? Och młodzi! No—zgoda i basta. Ręka. I ot chodźmy na obiad. Romaszow w milczeniu uściśnął dużą, opuchłą, chłodną rękę pułkownika.

Uczucie obrazy minęło, ale podporucznik był przybity.

Po dzisiejszych rannych rozważaniach, czuł się malutkim, godnym litości uczniakiem, chłopcem, którego nie lubiano, opuszczonym, bojaźliwym.

Przejsście to było dlań pełne głębokiego wstydu.

Dlatego też idąc za pułkownikiem do jego jadalni, pomyślał o sobie według swego przyzwyczajenia!

— Mroczna zaduma sfałdowała jego czoło.

Szulgowicz nie posiadał dzieci. Do obiadu wyszła jego żona, kobieta tęga, wysoka, poważna,

milcząca dama, bez szyi, ale za to z kilkoma podbródkami. Pomimo binokli, fizyonomia jej uderzała prostotą, robiąc wrażenie wypieczonej z ciasta twarzy o małych jamkach, a w nich rodzynekach zamiast oczu. Tuż za nią dreptała matka dowódcy, mała, głucha, pełna życia jeszcze staruszczenka. Z ciekawością przyglądała się podporucznikowi, podała mu małą, pomarszczoną rękę do pocałowania, a następnie zwróciła się do pułkownika, bez najmniejszej ceremonii, jakby ich tylko dwoje było z pułkownikiem, i spytała:

— Któż-to—nie mogę sobie przypomnieć.

Szulgowicz złożył ręce w trąbkę i krzyknął staruszce do samego ucha:

— Podporucznik Romaszow. Znakomity oficer... Zuch... Z korpusu kadetów. Ach tak, zawołał nagle. — Zdaje mi się, podporuczniku, żeś z naszych stron, z pod Penzy?

— Tak jest, panie pułkowniku, z pod Penzy.

— O tak — przypominam sobie, jesteśmy więc z jednych stron. Narowczatski powiat?

— Tak jest. Narowczatski.

— No, tak, że to ja zapomniałem. W Narowczatku jedne kołki w płotku. A my z Jusarska pochodzimy — mama! — znowu zatrąbił staruszek do ucha — podporucznik Romaszow z naszych stron — z pod Penzy.

— A-a! — Staruszka poruszyła znacząco brwiami. — Tak, tak, tak... myślałam właśnie... A więc, jesteś pan synem Sergieja Pietrowicza Szyszkińa?

— Gdzież tam, mylisz się matka! Nazwisko podporucznika nie Szyszkin, a Romaszow.

— Otóż, otóż, ot... Mówię właśnie... Sergieja Pietrowicza nie znalazłam, tylko ze słyszenia. A Piotra Pietrowicza za to, nawet go często widywałam. Majątki bodaj, że obok siebie były... Bardzo, bardzo mi przyjemnie młody człowieku... Chwalebne, chwalebne z pańskiej strony.

— Fu, będzie skrzypiec teraz stary skwarek — rzekł dowódca z gburowatą dobroduszością patrząc na matkę. — Siadaj podporuczniku... Poruczniku Fedorowski! Kończ pan i choć pić wódkę!

Do jadalni wszedł adjutant, który według zwyczaju zaprowadzonego w wielu pułkach, jadał obiady u pułkownika.

Ruchem miękkim leniwawym, podziwując ostrogą Fedorowski podszedł do oddzielnego majolikowego stolika, na którym stała wódka i zakąska.

Wypił kieliszek, przetrzącił, nie zwracając prawie uwagi na Romaszowa,

— A pan wódki — zapytał Szulgowicz — wszak i pan pije.

— Nie, dziękuję, jakoś nie mam ochoty — odparł Romaszow cichawo i zakasłał.

— O-o, ślicznie. Tak najlepiej. Życzę tego na przyszłość.

Obiad był bardzo dobry, suty, smaczny. Widoczne było, że bezdzietni pułkownikostwo lubią zjeść dobrze. Zupa z korzeni, leszcz z kaszą, gęś, szparagi — wnoszono kolejno. Trzy butelki wina, stojące na stole — z białym, czerwonym i maderą, były napoczęte i zatkane srebrnymi korkami.

Pułkownik, jakby chwilowy gniew usposobił go, jadł z apetytem, tak elegancko, że przyjemnie było patrzeć na niego. Przez ciąg obiadu pożartowywał. Kiedy podano szparagi, zakładając bielutką serwetkę za kołnierz, powiedział:

— Gdybym był cesarzem, jadałbym tylko szparagi!

Przy rybie nie wytrzymał i zrobił Romaszowowi uwagę naczelnikowskim tonem:

— Podporuczniku! Odłóż, pan, proszę nóż. Rybę jada się tylko widelcem. Niedobrze! Oficer powinien umieć jeść. Każdy z oficerów może być zawzwany do najwyższego stołu. Pamiętaj pan o tem.

Romaszow siedział przy obiedzie zgnębiony. Nie wiedział co zrobić z rękami, które przeważnie

trzymał pod stołem. Cały czas targąła go jedna i ta sama myśl: „Jakież to wstrętne ta moja nieśmiałość, z powodu której przyjąłem ten poniżający obiad, zamiast odmówić. Ot, wstanę zaraz, uklonię się i pójdę. Cóż mi zrobią? Nie zjedzą, nie wyrwą duszy, myśli, uczuć. Pójść sobie? — Pytał siebie samego, wiedzając, że nie wstanie, że będzie siedział i męczył się do końca.

Prawie mrok zapadł, gdy podano kawę.

Skośne czerwone promienie słońca wniknęły przez okna, igrając resztką swego światła na ciężkich draperyach, ciemnych obiciach, obrusie, zastawie, na twarzach obiadujących.

Wokoło stołu nastąpiło chwilowe milczenie.

— Kiedy byłem jeszcze chorąży — rzekł nagle Szulgowicz — generałem brygady był wtedy Fofanow. Starzec bardzo przyjemny, odważny. Lubił śpiew, muzykę. Na przeglądzie, zdarzało się, podejść do dobosza i powie: a no, bracie, zagraj mi coś melancholijnego. Tak. Owóż ten generał, gdy miał u siebie dużo gości, a zawsze akuratnie o jedenastej chodził spać, zwracał się do zebranych i mówił: moi państwo jedzcie, pijcie, bawcie się, a ja spocznę w objęciach Neptuna. Chyba Morfeusza — robili mu uwagę. — Eh wszystko jedno — wszak to z jednej i tej samej mineralogii... Ot ja toż samo zrobię teraz moi panowie. Szulgowicz powstał, mówiąc to i położył serwetę na poręczu krzesła. Jesteście wolni, panowie — rzekł do oficerów.

Oficerowie sztywno powstali. „Gorzko-ironiczny uśmiech osiadł na cienkich jego wargach“ — pomyślał Romaszow, ale tylko pomyślał, bowiem własna fizjonomia podporucznika wyrażała głęboki szacunek.

Idąc ku domowi, czuł się znowu Romaszow nie szczęśliwym, samotnym, rzuconym w jakieś obce, ciemne, wrogie mu miejsca.

Na zachodzie paliła się wśród spiętrzonych sinawych chmur żółtawo-czerwona zorza. Romaszow znów sobie wyobrażał, że tam, za horyzontem, za domami, polami—hen, hen jest miasto, istnieje życie pełne szczęścia, rozkoszy i piękna.

Ciemniało. Po szosie uwijały się piskliwe dzieci żydowskie. Z pod parkanów, z pod wrót, od domków, domów dobiegał kobiecy śmiech, dzwoniąc pobudliwie, drgając radośnie, młodzieńczo — ot jak w początkach wiosny.

Z cichym żalem, z tęsknicą, myślał Romaszow o niezazanem szczęściu, o minionych piękniejszych jeszcze wiosnach. W jego sercu tliło słodczyz pełne przeczucie nadchodzącej miłości i zlewało się żalem i tęsknicą w rozmarzającą jedność.

Przyszedłszy do domu zastał Hajnana, siedzącego w swej ciemnej komórcie przed biustem Puszki. Wielki poeta wymazany był sadłem. Paląca się przed nim świeczka nadawała światłem swem połysk całej statui, zwłaszcza zaś ustom, nosowi, szyi. Hajnan, siedząc po turecku na trzech derkach, na których sypiał, kiwał się w tył i naprzód, marmrocąc półspiewnie coś monotonnego.

— Hajnan—zawołał nań Romaszow.

Deńszczyk drgnął, porwał się z desek i zmieszany, przerażony stanął przed podporucznikiem.

— Ałłach?—zapytał go Romaszow, przyjacielsko się uśmiechając.

Twarz Czeremisa opromienił uśmiech.

— Ałła, wasza cześć!

— No, no, siedź sobie, siedź.—Romaszow poklepał *deńszczyka* po ramianiu.—Wszystko jedno, Hajnan. Ty masz swego Ałłaha, ja swego, a wszyscy jednego.

— Kapitalny ten Hajnan — myślał podporucznik, wchodząc do pokoju.

— Nie mogę uścisnąć mu dłoni nawet. Dyabli nadali! Od dnia dzisiejszego sam się będę rozbierał i ubierał. To świństwo, kazać to robić innemu.

Tego wieczora nie poszedł do klubu. Wyjął z kuferka gruby liniowany kajet, zapisany w części drobnym, nerwowym charakterem pisma i do samego rana prawie pisał.

Była to z kolei trzecia powieść przez Romaszowa stworzona. Nosila ona tytuł *Ostatni debiut z przeznaczenia*.

Podporucznik wstydził się sam przed sobą własnych dzieł i nikomu za nic w świecie nie przyznałby się do tego, że pisze.

Muzykanci znajdowali się już w oszklonej galerijce, połączonej nie dużym oknem z salą. Salę oświetlały kandelabry ściennie i pajak. Dzięki potokowi światła cały pokój wydawał się szczególnie pustym. Obicia białe, krzesła wiedeńskie rzędem pod ścianami ustawione, firanki tiulowe wesołości nie dodawały.

W salce bilardowej dwóch adjutantów bataljonowych porucznik Bek-Agamałow i Olizar, którego w pułku nazywano hrabią, grali w piramidkę o kufelki piwa.

Olizar — wysoki, cienki, wylizany, upomadowany — młody starzec bez zarostu, z nieco pomarszczoną twarzą, dobrze utrzymaną, wciąż wygrywał, gniewając tem Beka.

Grze przyglądał się sztabs-kapitan Leszczenko, mężczyzna lat czterdziestu pięciu, mogący swoim widokiem sprowadzić smutek — tak przygnębiającą miał fizyonomię; nos, wąsy, jakby zwieszono, oczy płakiwe; surdut stary zdawał się być zaduży... Leszczenko nie pił, nie grał i nie palił. Ale było dlań szczególniejszą przyjemnością patrzeć na grających już to w bilard już to w karty, albo sterczyć w jadalni, gdy inni przepijali grosze. Potrafił całe godziny poświęcać tej przyjemności. Wszyscy się do tego w pułku przyzwyczaili i nawet bez milczącego Leszczenki ani gra, ani pijatyka nie szła tak, jak powinna była iść.

Przywitawszy się z oficerami, Romaszow usiadł obok Leszczenki, który odsunął się nieco z krzesłem, wdychając przytem i patrząc na podporucznika wzrokiem przybitym.

— Jakże się miewa Marya Wiktorówna? — spytał Romanow tym głośnym tonem, którym zazwyczaj wszyscy w pułku z Leszczenką rozmawiali.

— Dziękuję, gołąbku, — z ciężkim westchnieniem, odparł Leszczenko. — Nerwy... ha taki to cza...

VIII.

Koszary dla pomieszczenia pułku tylko co zaczęto budować na końcu miasteczka, za dworcem, na tak zwanym wygonie.

Do końca budowy pułk ze wszystkimi urzędzeniami był rozkwaterowany po mieszkaniach prywatnych. Klub oficerski znajdował się w niewielkim jednopiętrowym domku, którego szczyt stanowił front, równoległe zaś z ulicą była sala balowa, gościnna, w oficynie, przyłączonej mieściła się jadalnia, kuchnia i pokoje oddzielne dla oficerów przyjezdnych. W połączeniu oficyny z domem była salka bilardowa, bufet, pokój do kart, przedpokój i pokój dla pań. Ponieważ z wyjątkiem jadalni inne pokoje nie były uczęszczane, panowało w nich zatechłe, chłodnawe powietrze, zmieszane z wonią starych obić mebli.

Romaszow przyszedł do klubu o godzinie dziewiątej. Choć to było zwykłe, tańczące zebranie — nie było prawie nikogo. Panie jeszcze się nie zjechały. Tylko kilku młodych oficerów zeszło się i gawędziło z sobą. Co do pań — miały one szczególniejsze pojęcie o dobrym tonie, do którego należało zjawianie się na wieczór tańczący późno, aby nie być pierwszą.

— A czemuż to pan nie z żoną? Czy Marya Wiktorowna nie przyjedzie?

— Ależ, cóż znowu! Będzie, będzie gołąbku. Tylko widzisz pan zabrakło miejsca w faetonie, który najęła do spółki z Raisą Aleksandrowną. Powiedziały obie: „marsz buciska brudne, zawalasz nam suknie.”

— *Croisè* do środka! Wyjmuj kule z kątów, Bek!—krzyknął Olizar.

— Graj naprzód, a potem wyjmę razem, — gniewnie odparł Bek-Agamałow.

Leszczenko żuł końce swych wąsów.

— Mam do pana prośbę, gołąbku, Jerzy Aleksiejewiczu — powiedział z zająknięciem — pan jesteś dzisiaj aranżerem?

— A tak, do diabła! Mnie wyznaczono. Chciałem się koniecznie wykręcić od tego, ale adjutant pułkowy nie uwzględnił wymówek. „Przyszliz mi pan świadectwo od doktora” — cóż było robić.

— A właśnie, chcę pana prosić, gołąbku, abyś tam pamiętał o niej, niech tańczy. Proszę pana po koleżeńsku.

— Marya Wiktorowna?

— No tak, bądź pan łaskaw.

— Dubla z żółtej do rogu! — zawołał Bek-Agamałow. Nie było wygodnie grać, więc się rozciągnął połową ciała na bilardzie.

— *Jamais!* — z przekonaniem rzekł, drażniąc go, Olizar — tego i ja nie potrafię zrobić.

Kij Beka obsunął się po kuli, która ani się ruszyła.

— *Kiks!* — krzyknął radośnie Olizar i zatańczył kankana naokoło bilardu. — Kiedy śpiesz, to chrapiasz, moja duszyczko — a?

Agamałow stuknął grubym końcem kija o podłogę.

— Wstrzymaj się od gadania, gdy mam ude-

rać — zawołał, błyskając czarnymi oczyma. — Inaczej przestanę grać.

— Nie gorączkuj się, duszyczko moja, krew psuć po co? Modystka w róg! — Do Romaszowa podbiegł w tej chwili jeden z żołnierzy dyżurujących w przedpokoju, jako lokaj.

— Wasza cześć, panie proszą do sali.

Kiedy Romaszow wszedł, ujrzał trzy przechadzające się starsze panie, które tylko co przyjechały. Najpoważniejsza wiekiem była żoną zawiadującego gospodarstwem pułkowem — Anna Iwanowna Migunowa. Spostrzegłszy podporucznika możliwie dla niej najwytworniejszym tonem, kapryśnie przeciągając końcową sylabę, przywitała się prosząc:

— Panie poruczniku-u, rozkaż zagrać cośkolwiek do słu-u-u.

— Z przyjemnością.

Romaszow podszedł do orkiestry.

— Zisserman — zawołał na dyrygenta — wal do słuchu.

Rozpoczęto uwerturę z „Życia za cesarza,” taktę której zafalowały płomyki świec.

Powoli zjeżdżano się.

Rok temu Romaszow ogromnie lubił chwilę przed balem, kiedy jako aranżer w przedpokoju witał przybywające damy.

Jak pociągającymi były dlań one, jak pięknie, gdy podniecone muzyką, wyczekiwaniem tańców, wesoło zrzucały z siebie żakiety, kapelusze, boa...

Przedpokój wypełniał się śmiechem kobiecym, dzwiecznymi głosikami, chłodnym powietrzem, przepojonem wonią perfum, pudru, rękawiczek — odorującą wonią pięknych, balowo strojnych kobiet. Jakże błyszczącymi, miłosnemi wydawały mu się wtedy ich oczy, utkwione w zwierciadła, w których poprawiały swoje tualety.

Ile melodyjności miały dlań szmery wspaniałych sukien, ileż rozkoszy było dlań w uścisku maleńkich rączek!

Ten dawny czar minął — minął na zawsze.

Romaszow nie bez pewnego wstydu spostrzegł, że w tym dawnym uroku było dużo fantazji, dużo zaczerpniętego z lichych francuskich romansów, które czytał, a w których opisywano jak to Gustaw i Armand, przyjechawszy na bal do poselstwa rosyjskiego, przechodzili przez westibul.

Wiedział, że prawie wszystkie panie z ich pułku, mają jedne i te same rokrocznie tualety, nie szczególnie przerabiane z roku na rok, że białe rękawiczki piorą w benzynie. Śmieszna wydała mu się pretensjonalność pań, pasya ich do wstążek, fałszywych drogich kamieni, do piór — co wszystko razem wzięwszy robiło nań wrażenie zbytku nieestetycznego, domowej roboty.

Każda z kobiet używała bielidła, różu, ale bez najmniejszej umiejętności, tak, że twarze niektórych były sinawe. Najnieprzyjemniej uderzały go, z dawnych balów zakulisowe historye, które znał jak zresztą wszyscy oficerowie; wiedział również ile biedy, wysiłków, chytrych, plotek, wzajemnej nienawiści, bezsilności, naśladowania tonów wielkoświatowych, wreszcie ile marnych, nudnych w każdym takim balu zawiązywało się stosunków...

Przyjechał kapitan Talman wraz ze swoją żoną: oboje wysocy, dobrze zbudowani; ona pyzata blondyna, on — z wyrazem rozbójnika, wiecznie kaszlący.

Romaszow naprzód już wiedział co Talman powie i rzeczywiście, kapitan, obrzuciwszy cygańskim swoim wzrokiem salę i gości, zapytał:

— Cóż, podporuczniku, czy grają w karty?

— Nie. Wszyscy w jadalni.

— Nie? Sonieczko wiesz ja tego... idę do jadalni przejrzeć „Inwalida.” Bądź łaskaw podporuczniku zaopiekować się moją żoną... pamiętać o jakim kontredansie, mój drogi...

Wfrnęła do przedpokoju rodzina Łykaczewych — cały szereg ładnych, wesołych, żywych dziewcząt na czele z mateczką lat 40, która mimo to tańcowała bez wytchnienia i ciągle rodzila dzieci „między drugim a trzecim kontredansem” jak mówił o niej dowcipniś pułkowy, Arczakowski.

Pannie ze śmieszkim, nie dając przyjść jedna drugiej do słowa, otoczyły podporucznika.

— Zły, zły, zły!

— Nie dobry, nie dobry!

— Dlaczegoś to pan zapomniał o nas?

— Zapraszam pana do pierwszego kontredansa.

— *Mesdames, mesdames* — mówił Romaszow, starając się ukryć przymus — *mesdames* — kłaniał się, uśmiechał.

Nagle spojrzął na szklane drzwi wchodowe. Ukazała się w nich postać Raisy Aleksandrówny Peterson.

Romaszow czempredzej, jak dzieciak, uciekł do salonu. Mimo szybkości z jaką umknął z przedpokoju — wydawało mu się, że go Raisa spostrzegła, czuł przy tem lęk w wyrazie maleńkich oczu jego kochanki, zdało mu się, że ujrzał coś nowego, ostrego, złego, drgającego groźbą.

Podporucznik przeszedł do stołowego pokoju, zapełnionego gośćmi. Kłębził się tam sinawy dym z papierosów i cygar. Czuć było zapachy kuchenne. Dwie czy trzy grupy oficerów jadły i piły. Ten i ów przeglądał dzienniki. Dziesiątki różnorodnych głosów zlewały się w jeden chaos, zmieszany ze stukiem widelcy, nożów, talerzy, hałasem, uderzeń bilardowych. Od drzwi ciągnęło zimno.

Romaszow odnalazł porucznika Bobetyńskiego i podszedł do niego. Bobetyński stał przy stole huśtając się na palcach i piętach. Podporucznik ujął go za rękaw.

— A co? — zwrócił się zaczepiony do Romaszowa.

— A to pan, bardzo mi miło,—rzekł, witając się z robioną elegancyą, którą starał się naśladować złotą młodzież z gwardyi.

Bobetyński miał o sobie bardzo wysokie pojęcie, uważał się za znawcę kobiet, wina, koni, za znakomitego tancerza, wytwornego światowca, przeżytego i rozczarowanego mimo lat dwudziestu czterech. Mówił z tego powodu bardzo powoli, barbarzował francuzczyzną, chodził krokiem zmęczonym, w każdym ruchu ujawniając znużenie.

— Piotrze Tadeuszowiczu, bądź łaskaw aranżować, wyręcz mnie — prosił go Romaszow.

— *Mais mon ami!* — Bobetyński oburzył się, robiąc głupie oczy. Ae... mój przyjacielu. — Dla czego, *Pourquoi?* Seryo... jak to powiedzieć?... za-dziwiasz mnie pan!

— Mój drogi proszę cię.

— Najprzód... bez etykietek. Cóż to jest drogi, taki, owaki etc.

— No proszę, Piotrze Tadeuszowiczu... Głowa mnie boli.. i gardło... niepodobna mi aranżować.

Prosił długo podporucznik swego przyjaciela, wreszcie zdecydował się i na małe pochlebstwo.

— Nikt w pułku tak tańców jak pan nie poprowadzi. A prócz tego jedna z dam prosiła również...

— Dama?... Bobetyński spojrzał na Romaszowa melancholijnie, przygnębiającym wzrokiem. Dama, *mon cher*, w moim wieku... Roześmiał się z robioną goryczą i rozczarowaniem. — Cóż to jest ko-

bieta? Cha, cha, cha... No, dobrze, zgadzam się... Zgadzam się podporuczniku!

Nastrajając głos na ton znużenia nagle dorzucił:

— *Mon cher ami*, a nie masz pan czasem... jak to się nazywa... trzech rubli?

— Niestety! — westchnął Romaszow.

— Może choć rubla?

— Mm!

— *Desagrèables...* Trudno... Chodźmy się w takim razie napić wódeczki.

— Oj, kredytu także nie mam, Piotrze Tadeuszowiczu.

— Ta-ak? O... Ha, wszystko jedno chodźmy. Bobetyński uczynił niedbały, zapraszający ruch. — Ja pana proszę.

W jadalni toczyła się coraz głośniejsza i coraz więcej interesująca rozmowa. Mówiono o pojedynkach tylko co w armii dozwołonych; zdania były różne.

Najbardziej ze wszystkich dowodził porucznik Arczakowski, figura dość ciemnawa—podobno o mało, że nie szuler. Poszeptywano nawet o nim, że w czasie zapasowym, gdy był urzędnikiem na poczcie, sądzono go za morderstwo jednego z woźniców, którego zabił pięścią.

— Dobry jest pojedynek dla gwardzistów — mówił basem Arczakowski, ale dla nas... Dobrze, przypuśćmy ja z Wasylem Wasylewiczem Lipskim upijemy się obaj no i popijanemu uderzę go. Cóż nam pozostaje? Jeśli nie zechce bić się ze mną, wypędzą go z pułku. Zgodzi się na spotkanie, wpakuje mu kulkę. O mnie nmiejsza, jestem kawalerem, ale Lipski ma rodzinę. Jedno głupstwo...

— Ha to... pozwól — pozwól — przerwał mu stary pijany podpułkownik Lech, trzymając w jednej

ręce kieliszek, a drugą robiąc słabe ruchy w powietrzu, — czy ty rozumiesz, co to jest honor munduru?... Ha, to bracie mój — nie żart. Honor to.. ot przypominam sobie w 1862 roku w pułku Temrukskim.

— Wydarzeń pańskich tyle — przerwał mu niegrzecznie Arczakowski — gotówes pan opowiedzieć co było za cesarza Groszka.

— Jakiś ty zuchwały, bracie — jesteś młokosem, a ja... zdarzyło się więc w pułku...

— Tylko krew piętno ohydry czy obrazy zmyć może — odezwał się Bobetyński, unosząc głowę.

— Ha to, znajdował się w pułku podchorąży Sołucha, — silił się mówić dalej pijany Lech

Do stołu podszedł, wyszedłszy z sali bufetowej, komendant pierwszej rotacji, kapitan Osadczy.

— Słyszę, że rozmawiacie o pojedynkach. Ciekawy jestem, — zawołał rykliwym basem. — Witam pana, panie pułkowniku, witam panów.

— A, Kolos Rodyjski — łaskawie powitał go Lech. — Ha to... siadaj ot koło mnie, kapitanie ty.. Napijesz się ze mną wódeczki?

— Ależ owszem — odparł Osadczy.

Ten oficer czynił zawsze na Romaszowie dziwnie denerwujące wrażenie, budząc uczucia ciekawości i strachu.

Osadczy, również jak Szulgowicz, sławni byli nie tylko w pułku, ale w całej dywizji z pięknego głosu i niezwykłej siły.

Znano go także jako doskonałego oficera w szeregu, pojmującego świetnie służbę. Dla jej pożytku wyznaczano go to do tej, to do innej rotacji, umiał on bowiem w pół roku robić z najgorszych, z najbardziej zaniedbanych pod względem komendy, coś w rodzaju maszyny, przesyconej nieludzkim strachem przed swą władzą. Ta jakaś nadzwyczajna jego siła, przed którą drżeli inni, która mogła

ujarzmiać, była tem więcej niepojęta dla przyjaciół, że on ani nigdy nie bił nikogo, ani nie wymsyślał.

Romaszow pochwytywał w pięknej, mrocznej twarzy niezwykłą bladłość, silnie odcinającą się od ciemnych włosów. Wpatrywał się uważnie w Osadczego nieraz i wyobrażał sobie, jakim ten człowiek musi być, gdy się gniewa; na tę myśl bladł sam przerażony, zaciskając nerwowe ręce.

I teraz spoglądał na tego człowieka, który ze spokojem zajmował podsunięte mu krzesło.

— No i jakież rezultaty szanownego zebrań — zapytał, wypiwszy kieliszek wódki.

— Ha to, bracie, opowiadam właśnie jak pewnego razu w Temrukskim pułku porucznik fon Zoon, przezwany przez żołnierzy „Pod dzwon”... jak to on raz w klubie..

Opowiadanie przerwał Lipski, czterdziestoletni mężczyzna. Mimo lat i stopnia sztabs-kapitana znany był w towarzystwie oficerów jako dowcipniś, żartowniś; mówił wesoło, tonem zepsutego ulubieńca wszystkich.

— Pozwól, panie kapitanie, powiem krótko. Porucznik Arczakowski mówi, że pojedynek to głupstwo. Debatował następnie porucznik Bobetyński, żądając przelewu krwi. Dalej pan pułkownik koniecznie chciał w krótkości opowiedzieć zdarzenie ze swego życia, ale mu się dotychczas nie udało skończyć o tem wydarzeniu. Na początku samym podporucznik Michin mówił także, ale z powodu braku dobrego, mocnego głosu, a dalej z przyczyny wstydlivosti wrodzonej, nie potrafił dostatecznie wypowiedzieć się.

Podporucznik Michin młodziutki, wiosenkowaty z wystraszoną czarną okiem nagle pokraśniał.

— Ja panowie tylko... Ja panowie, może być, że się myślę — zaczął jękając się i skubiąc nerwo wo twarz. Według mnie, to jest, myślę... trzeba w każdym wypadku być ostrożnym, każdy wypadek roztrząsać. Pojedynek czasami jest bardzo pożyteczny — to nieulega kwestyi i żaden z nas od niego się nie uchyli, to naturalne... Ale czasem... większym może być honorem nie pojedynekować się, a wybaczyć, darować obrazę. Mogą być wypadki rozmaite...

— Ech, dekadencie, Iwanowiczu, — machnął ręką Arczukowski, — ssać panu jeszcze!

— Ha, to dajcież mi się bracia raz wypowiedzieć!

Tłumiąc swoim potężnym głosem inne, zawołał Osadczy: Panowie, pojedynek powinien być ostry, traktowany na seryo! Inaczej będzie on tylko ustępstwem, głupotą, komedią. Pięćdziesiąt kroków, jeden wystrzał dla jednego i drugiego przeciwnika. Z pojedyneków, mówię wam, wyniknie żart; same obróćą się w takie francuskie, o których się czytuje w gazetach. Zeszli się, zamienili strzały, a potem o przebiegu walki donoszą pisma: „Pojedynek zakończył się na szczęście dobrze. Przeciwnicy wyszli bez szwanku, wykazując męstwo. Przy śniadaniu, dwóch niedawnych wrogów zrobiło się przyjaćiółmi”. Taki pojedynek to głupstwo. Ani potrzebny, ani pożyteczny, bo żadnego uszlachetnienia wśród nas nie wzbudzi”. Odpowiedziało mu kilka głosów na raz. Lech, który kilka już razy chciał skończyć opowiadanie, zaczął „a ot — ha to, moi bracia, „słuchajcież żrebięta”. Nikt go nie słuchał. Podpułkownik przebiegał oczyma po rozmawiających, kiwając żałośnie głową. Utkwił wreszcie wzrokiem w Romaszowa.

Młody oficer wiedział z doświadczenia jak to jest ciężko nie módz się wypowiedzieć: słowa jakby

wisiał w powietrzu, czekały ciągu, do którego zniewala powracać jakiś kłójący wstyd. Dlatego to podporucznik podszedł do pułkownika, który, zgadzając w nim chęć wysłuchania rozpoczętego zdarzenia, pociągnął go za rękaw bliżej ku sobie.

— Ha to, chociaż ty mnie wysłuchaj — z goryczą rzekł Lech, — siadaj i pij. Oni wszyscy licha warci. — Machnął słabym ruchem ręki w stronę kłócących się oficerów, — hau, hau, hau, a żaden niema doświadczenia. Chciałem właśnie opowiedzieć...

Trzymając w jednej ręce kieliszek, a drugą machając, jakby dyrygował, zaczął jedno z wielu opowiadań, któremi był nafaszerowany, jak kielbasa, a których nigdy nie mógł dokończyć, dzięki rozmaitym dodatkom, porównaniom i t. p. Anegdota, którą tylekroć razy teraz zaczynał, tyczyła się pojedyunku amerykańskiego, jaki się odbył bardzo dawno między oficerami, którym za los służyła parzystość lub nie parzystość na papierowym rublu. Jeden z nich Pod dzwon czy też przeciwnik jego Solutcha uciekł się do oszustwa: „Ha to, bracie mój, sklejał dwa papierki razem i było na jednej stronie”..

I tym razem jednak pułkownik nie mógł dokończyć zdarzenia, bowiem w drzwiach jadalni ukazała się Raisa Peterson. Stojąc w wejściu, ale nie wchodząc (co wogóle przyjętem nie było), zawołała wesołym, kapryśnym tonem, takim, jak szczebioczą rozgrymaszone, pieszczone dziewczęta:

— Panowie, jakże można! Panie dawno się już zjechały, a wy tutaj sobie siedzicie! Chcemy tańczyć!

Kilku młodych oficerów podniosło się, aby pójść do sali, inni nie ruszając się, ciągnęli rozmowę, wcale nie zwracając uwagi na kokietującą ich damę. Tylko Lech podszedł do niej drobnym kroczkiem i, złożwszy ręce w krzyż, wylewając przy

tem wódkę z kieliszka na mundur swój, wykrzyknął z pijackim zachwytem:

— Bóstwo! Że to władza pozwala istnieć takiej piękności! Rączusie daj ucałować, ach daj...

— Jerzy Aleksiejewiczu, —zaszcebiotała Peterson, —pan podobno aranżujesz? Piękny, ani słowa, aranżer!

— *Mille pardon, madame. C'est ma faute!* Moja wina, —wykrzyknął Bobetyński, biegnąc do niej. Przytem balansował, kłaniał się, nadskakiwał, robił miny i gestykulował jak jaki baletnik. — Podaj mi, pani, dłoń, jeśli łaska. *Votre main madame.* Panowie do sali, do sali!

Poszedł z Raisą naprzód, dumnie wznosząc głowę. Z drugiego już pokoju słyhać było podniesiony jego głos, głos, jak wyobrażał sobie, światowca, aranżera najprzedniejszego.

— Panowie walc! Muzyka walc!

— Wybacz pan, panie pułkowniku, moje obowiązki — rzekł Romaszow.

— Ech, bracie mój — pokiwał głową rozgoryczony Lech. I tyś taki jak i tamci... Ha to... zczekaj podchorąży! Słyszałeś o Moltkem? O wielkim feldmarszałku i strategiku Moltkem?

— Panie pułkowniku, doprawdy —

— O, o — To co ci powiem — jest krótkie, Wielki ten generał odwiedzał kluby oficerskie. a przy obiedzie kładł przed sobą woreczek napelniony złotem. Postanowił sobie ofiarować go oficerowi, od którego raz bodaj w klubie usłyszysz dzielne, naprawdę wartościowe słowo. Ale umarł, przeżywszy sto dziewięćdziesiąt lat, woreczka zaś nie miał komu dać. Hm? Rozgryzłeś ten orzeszek — Hm? No to teraz idź, bracie. Idź, idź, wróblu... poskacz sobie, poskacz...

IX

W salonie, rozdrzanym ogłuszającymi dźwiękami walca, krążyły dwie pary. Bobetyński, podniósłszy łokcie do góry szybko przebieierał nogami w koło wysokiej Talmanówny, tańczącej ze spokojem marmurowego głazu. Wysoki Arczakowski kręcił w koło siebie jedną z młodszych Łykaczewych, nad którą lekko się pochylił i patrzył na strojną; nie wykonywał *pas*, lecz przestępował od niechcienia z nogi na nogę, jakby tańczył z dzieckiem. Piętnaście innych pań siedziało pod ścianą w zupełnej samotności; starały się udawać, że ta samotność jest im obojętna.

Jak zwykle na zebraniach pułkowych tak i teraz okazało się, że płeć żeńska liczbą przewyższała męską, co nie obiecywało wesołego początku balowego.

Petersonowa, która tylko co rozpoczęła tańce (było to dla pań rzeczą nadzwyczajnej wagi, szczytną bardzo), tańczyła teraz z eleganckim Olizarem. Jedną jej dłoń trzymał na lewym swoim biodrze, —dama na prawej ręce swej, leżącej na ramieniu tancerza, oparła podbródek, zwracając nieładnie twarzączkę

w bok—na salę. Po jednym turze, usiadła, namiętnie niedaleko od Romaszowa, stojącego przy drzwiach. Wachlując się i wpatrując w Olizara, mówiła ze znudzeniem:

— Powiedz, hrabio, dlaczego tak mi jest zawsze gorąco. Błagam pana, powiedz mi!

Olizar lekko się skłonił, dźwięknął ostrogami i pokręcił wężą.

— Pani, tego nawet Marcin Zadeke nie powie.

Ponieważ Olizar patrzył na jej piersi odsłonięte, zaczęła szybko, głęboko oddychać.

— Temperatura moja zawsze podniesiona! — mówiła Raisa, dając poznać uśmiechem, że za temi słowami kryje się myśl nieprzyzwoita. — Taka to krew we mnie płynie!

Olizar urywkowo, nieokreślenie zachichotał.

Romaszow patrzył na Petersonową i myślał ze wstrętem: „Oh jakaż ona obrzydliwa”. Miał w tej chwili uczucie, jakby przeszły ich stosunek podobny był do brudnej bielizny.

— Nie śmieję się, hrabio. Nie wiesz pan, że moja matka była Greczynką?

— I mówi nieprzyjemnie, — myślał Romaszow. — Szczególnie, że dotąd nie spostrzegalem tego. Tak wymawia słowa jakby miała chroniczny katar, albo polipa w nosie „boja batka greczydka”.

Petersonowa raptem zwróciła się do Romaszowa i spojrzała na niego wyzywająco.

Romaszow szepnął do siebie:

„Twarz kobiety przybrała wyraz zagadki, stała się maską”.

— *Bonjour*, Jerzy Aleksiejewiczu! Nie masz pan zamiaru przywitać się? — zaśpiewała Raisa Aleksandrowna.

Romaszow podszedł. Z groźnym, ostrym wzrokiem uściśnęła mu rękę.

— Prosiłeś mnie pan o trzeciego kontredansa, nie zapomniałeś o tem, mam nadzieję!

Romaszow skłonił się.

— Jakiś pan dzisiaj niewyraźny—skrzywiła się Petersonowa.—Powinieneś pan powiedzieć: *enchantez madame*, — *adszadte badab* — posłyszał Romaszow — Hrabio, prawda, wygląda jak worek?

— Jakże miałbym zapomnieć! Pamiętam — niepewnym głosem rzekł Romaszow. — Dziękuję za zaszczyt.

Pomimo starań Bobetyńskiego, wieczór zamało był ożywiony. Aranżował tańce z rozczarowaniem, znudzeniem, jakby ulegając konieczności czynienia drugim przyjemności, jakby się poświęcając tylko uprzykrzonym obowiązkom, mającym dla innych poważne znaczenie.

Dopiero przed trzecim kontredansem ożywił się nieco. Przebiegał salę, szybko sunąc i bardzo donośnie wołając.

— Monstre-kontredans! Kawalerya, angażujcie damy!

Romaszow z Raisą stali nieopodal okna, za którem grała muzyka. Za *vis-à-vis* mieli Michina, który tańczył z żoną Leszczenki, ledwo sięgającej wzrostem do ramienia swego tancerza.

Par było sporo, tak, że tańczono wszerg i wzdłuż. Raz jedna grupa wykonywała figury, raz druga, dlatego muzyka dwa razy jedną i tą samą musiała powtarzać.

— Trzeba skończyć ostatecznie — myślał Romaszow, ogłuszony bębniem.

— Dosyć tego! „Fizyonomia młodzieńca wskazywała nieugiętość”.

Prawie wszyscy z aranżerów pułkowych oddawna mieli szczególniejsze zamięłowania wprowadzać zwłaszcza w trzecim kontredansie, zamieszanie wśród tańczących z czego powstawał chaos i śmiechy.

Bobetyński również, rozpoczynając drugą figurę, rozkazywał tańce solowe, zwracał panów do pań, tworzył *grand-rond*, wreszcie pomieszawszy wszystkich, kazał szukać się danserom.

— *Mesdames avancez, pardon*, panowie *solo, pardon, balansez, retour!*

Tymczasem Raisa, zadychając się, mówiła rozwścieczona, robiąc przytem taki uśmiech, jakby najprzyjemniejsza prowadziła rozmowę.

— Nie pozwolę w ten sposób postępować z sobą. Słyszysz pan? Nie jestem dziewczką. Tak. Porządni ludzie w ten sposób nie wychodzą!

— Po co się gniewasz, Raiso—miętko, przekonywająco—rzekł Romaszow.

— Gniewać się?—o, to byłoby zbyt wiele ła ski. Mogę tylko pogardzać panem. Szydzić z siebie nikomu nie pozwolę. Dlaczego to pan nie odpowiedziałeś na mój list?

— Ależ list pani nie zastał mnie w domu, przysięgam!

— Bałamuctwo, czyż to nie wiem, gdzie pan bywasz! Bądź pewny...

— *Cavaliers en avant! Rond des cavaliers! à gauche!* Na lewo, na lewo! *Plus de la vie!*—wykrzykiwał Bobetyński, piekielnie tupiąc nogami i dzwoniąc ostrogami.

— Wiem, wiem o wszystkich intrygach tej kobiety, tej liliputki—zaczęła Raisa, kiedy się Romaszow zbliżył.—Zawiele ona myśli o sobie, ta rejentówna! Cóż ona jest, córka oszusta.

— Proszę się przy mnie nie odzywać w ten sposób o moich znajomych—ostro powiedział Romaszow.

Nastąpiła scena skandaliczna nieomal. Petersonowa błotem obrzuciła panią Olę. Zapomniała o swoich robionych uśmiechach i, cała w kolorach

starala się przekrzyknąć swym kataralnym głosem muzykę.

Romaszow czerwieniał. Czuł bezsilność, tracił głowę tak z powodu bólu, że pani Ola stała się pastwą niegodziwych słów, jak również i z powodu tego, że nie potrafił ani jej, ani siebie bronić, że nie umiał nic rozwścieczonej Petersonowej odpowiedzieć, że zwracano już na nich uwagę

— Oboje poznacie moje pazury! Raz otworzę oczy temu idyocie Nikołajewowi, którego po raz trzeci chce wepchnąć do akademii. Jak ma postąpić, głupiec, skoro nie widzi, co się u niego w domu dzieje. A i to trzeba wiedzieć, że ona ma kochanka!...

— Proszę się uspokoić — mówił ze zgnębieniem Romaszow.

— Tak, tak, ojciec kradł, a ona zadziera nosa. Wiemy o niej niejedno, niejedno!

— Mazur, promenada! — krzyczał Bobetyński, sunąc przez salę w lansadach, podskokach, przysiadaniach, odskakiwaniach. — Mazur, wszystkie pary *en avant!*

Zadrzała podłoga. W takt mazura zachwiała się płomienie świec, firanki.

— Dlaczego nie mamy rozstać się po przyjacielsku?—rzekł cicho Romaszow.

Czuł, że ta kobieta wraz ze wstrętem budzi w jego duszy lęk. — Pani mnie nie kochasz... Rozstańmy się w przyjaźni...

— Aa! Tego pan chcesz? Bądź spokojny, mój drogi, nie należę do tych, które mogą być porzucane, sama porzucam wtedy, kiedy mi się podoba. Nie mogę wyjść z podziwu, jaki pan jesteś nikczemny...

— Skończmy raz—zawołał głucho Romaszow, zaciskając zęby.

— Antrakt pięć minut! *Cavaliers occuper vos dames!*—ryknął Bobetyński.

— Tak. Wtedy, kiedy zechcę. Pan mnie podłe oszukiwał! Wszystko dla ciebie poświęciłam, wszystko oddałam, co może tylko ofiarować kobiecie uczciwa... Nie śmiałam patrzeć w oczy swemu mężowi, temu idealnemu człowiekowi, dobremu, poczciwemu! Zapomniałam dla ciebie o obowiązkach żony i matki! Dlaczego, dlaczego nie pozostałam mu wierna?

— Przy-puść-my.—Romaszow nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Wszak ta kobieta słynną była z romansów, które prowadziła ze wszystkimi młodymi oficerami, przyjeżdżającymi na służbę do pułku.

Przypomniały mu się wyrażenia w rodzaju „ten idyota mój”, albo „ten niegodziwy człowiek”, „ten bałwan” i inne, których Raisa nie szczędziła mężowi nie tylko w rozmowach z Romaszowem, ale i w listach.

— A! masz pan śmiałość jeszcze się śmiać! Dobrze!—uniosła się Raisa.

— Na nas kolej!—rzekła raptem i, porwawszy za dłoń podporucznika puściła się z gracją w płas. Kiedy skończyli tańczyć, spojrziała surowo na Romaszowa; „jak rozdrażniony robak”—pomyślał Romaszow.

— Nigdy tego panu nie daruję. Słyszysz, nigdy! Rozumiem dlaczego w tak podły sposób chcesz się ze mną rozstać! Ale zamiary twe do skutku nie dojdą, nie, nie! Zamiast mi uczciwie od razu powiedzieć, że mnie więcej nie kochasz, wolałeś mnie pan oszukiwać i uważać za... za prostą samicę — tak... Na wszelki wypadek, jeżeli się tam nie uda... cha-cha-cha!

— Mówmy otwarcie—powstrzymując wybuch—

rzekł Romaszow. Bładł i gryzł wargi. — Pani sama tego chciałaś. Tak, prawda; nie kocham cię.

— Ach, jakież to zmartwienie!

— Nie lubiłem cię nigdy! Ale i tyś mnie nie kochała. Graliśmy oboje nędzną, miłostkową farsę. Doskonale zrozumiałem panią, Raiso Aleksandrówna. Dla pani wcale nie potrzeba było ani delikatnej, miękkiej miłości, ani najprostszej rozwiązłości. Za małaś pani na to duszą swoją. Dlatego, że Romaszewowi naraz przypomniały się słowa Nazańskiego—bo kochać mogą tylko wybrane, subtelne natury.

— Cha, widzę, pan się masz za taką?

Orkiestra zagrała. Z nienawiścią spojrzął Romaszow w okno na świecąca trąbę, z której z dziką obojętnością dobywały się kwaskowe toniki jakby wypluwane były na salę. I żołnierz, który grał na niej z wyдутymi policzkami, ze szklanym wzrokiem, posiniały od wyprężenia, był mu nienawistny.

— Nie będę się sprzeczał. I ja może nie zasługuję na miłość prawdziwą, rzecz jednak nie w tem, a właściwie w tej pani prowincjonalnej konieczności, w tej chęci zadośćuczynienia miłości własnej: aby cię ktoś zawsze otaczał, a drudzy widzieli to. Myślisz, że nie rozumiałem tej familiarności w obchodzeniu się ze mną na rozmaitych wieczorach, owych czułych spojrzeń, rozkazującego kapryśnie tonu, jakim przemawiałaś, gdy na nas zwracano uwagę. To było konieczne, żeby na nas patrzyli. Inaczej cała komedia nie miałaby dla pani znaczenia. Nie mojej miłości pani było potrzeba, ale asysty, ale tego, aby panią zupełnie niepotrzebnie jeszcze raz widzieli skompromitowaną.

— Mogłam sobie dlatego kogo innego wybrać, daleko więcej interesującego, niż pan—dumnie i wyniosłe odpowiedziała Petersonowa.

— O tem mnie pani nie przekonasz, tak. Potwarzam: potrzeba było pani niewolnika, nowe-

go sługi. Czas idzie, niewolnicy coraz są rzadsi, i oto, aby nie stracić ostatniego wielbiciela gotowaś pani była znowu poświęcić obowiązki rodzinne i wierność dla męża, zaprzysiężoną przed ołtarzem.

— Nie prawda, jeszcze się pan o mnie dowiesz!—wściekle, znacząco wyszeptła Raisa.

Przez salę, wymijając tańczące pary, podszedł do nich mąż Raisy kapitan Peterson. Był to człowiek szczupły, o suchotniczym wyglądzie, łysy, z czarnymi oczami — bardzo łagodnymi, a które jednak przebłykiwały pewnym ukrytym złośliwym ognikiem. Mówiono o nim, że do tego stopnia był zakochany w swojej żonie, iż przyjaźnił się ze wszystkimi jej wielbicielami. Było również wiadomem, że każdemu, który ją opuszczał, starał się wszelkimi sposobami nie darować wiarołomstwa, gnębiąc, ile się tylko dało, służbą pułkową i nienawidząc ich do najwyższego stopnia.

Zdaleka już uśmiechał się, rozszerzając swe sinawe wargi.

— Tańczysz Raisko? Jak się masz Jerzyk! Cóż to cię tak dawno u nas nie było, mój drogi? Tak przyzwyczailiśmy się do ciebie, że aż nam było tęskno.

— Ot, jakoś... nie miało się czasu—zamamrotał Romaszow.

— Wiemi coś o pańskich zajęciach—świszcząco odparł Peterson, grożąc podporucznikowi palcem. Jego oczy niespokojnie przebiegały od żony do Romaszowa. Była w tym wzroku ciekawość, przecucie czegoś niedobrego.

— Przyznam się, myślałem, żeście się pokłócili. Patrzą, siedzicie i rozmawiacie bardzo gorączkowo, dlaczegoż to?

Romaszow milczał, patrząc na żylastą chudą szyję Petersona. Raisa w tej chwili odrzekła z prze-

konaniem, którego nabierała zawsze, ilekroć miała skłamać:

— Jerzy Aleksiejewicz ciągle filozofuje. Mówi, że tańce przeżyły się, że są i głupie i śmieszne.

— A jednak sam tańczy — dobrodusznie zauważył Peterson. — No, tańczcie, moje dzieci, nie przeszkadzam wam.

Skoro tylko odszedł, Raisa szepnęła z kłamanem uczuciem:

— I tego świętego człowieka oszukiwałam! I dla kogo! Oh, gdyby on wiedział, gdyby tylko wiedział!

— Mazur, wszystkie pary, panowie odbijają damy—krzyknął Bobetyński.

W sali było duszno z powodu tańca i tłumu. Ogniki świec stały się z kurzu żółtymi piętnami. Par było dużo; popychano się i potracano ciągle. Figura odbijania pań polegała na tem, że jeden z panów, biegł w lansadach za upatrzoną parą i kiedy tancerka stanęła z nim oko w oko, uderzał w swe dłonie, na znak, że ją odbił. Tańczący w parze silił się nie dopuścić do tego, obracając damą na wszystkie możliwe strony. Figura ta przyczyniała wiele zamieszania.

— Aktorzyco — syknął Romaszow, pochylając się nad Raisą. — Słowa twe pobudzają do śmiechu i litości.

— Upieś się pan — opryskliwie rzuciła Raisa i spojrzała na niego wzrokiem, którym bohaterki w romansach mierzą łotrów i złodziei.

— Dlaczego, dlaczegoś mnie oszukiwała?—nie-nawistnie zawołał Romaszow. — Oddałaś mi się tylko dlatego, aby przy sobie zatrzymać. Gdybyś była zrobiła to z miłości ku mnie, nie z miłości już choćby, ale z uczucia—zrozumiałbym to. Uczyniłaś to jednak przez rozwiązłość i próżność. Czyś ani na jedną chwilę nie pomyślała o tem, jacy nikczem-

ni byliśmy oboje, należąc do siebie bez miłości, ot z nudów, ot dla prostego zabicia czasu, bez najmniejszego zainteresowania się sobą, a tak... jak sługi, jadające w święta słoneczniki. To gorsze, gorsze od płatnej miłości—tak! Jest tam przynajmniej konieczność, prawo natury — a tu... Hańba, wstyd pałacy przénika mnie, gdy myślę o tej chłodnej, bezcelowej rozpuście!

Oblany zimnym potem, zgaszonemi, tęskliwemi oczyma patrzył na tańczących. Tuż, tuż przepłynęła obnażona Talmanowa obok wesołego, skaczącego jak kozioł Epifanowa, dalej pucółowata małeńka Łykaczówna z pełzającym wzrokiem, odkrytą białą, niewinną szyjką... Olizar na cienkich nogach, jak cykiel...

Romaszow patrzył na tańczących i czuł ból głowy, chęć płaczu... Przy nim błada z wściekłości stała Raisa, szepcząc teatralnie:

— Wspaniale! Oficer piechoty w roli pięknego Józefa!

— Właśnie, właśnie — zgrzytnął Romaszow. To śmieszne, śmieszne! Nie wstydzę się żałować utraty czystości duszy i ciała. Dobrowolnie weszliśmy w brud, czuję, że nie ośmielę się nigdy już kochać świetlaną, jasną miłością. To pani, to twoja wina — słyszysz? twoja, twoja! Jesteś odemnie starsza i wytrawniejsza, aż nazbyt wytrawna w miłostkach...

Petersonowa z wielkiem oburzeniem wstała z krzesła.

— Dosyć! — zawołała dramatycznie. — Czego chciałeś, to masz. Nienawidzę cię. Nie chcę widywać u nas, w domu, gdzie cię przyjmowano szczerze, serdecznie. O! jakże żałuję, że nie mogę powiedzieć wszystkiego mężowi. Ten święty człowiek gdyby wiedział prawdę, odebrałby sobie życie! On potrafiłby odemścić się za mnie, bezbronną kobietę!

Romaszow, mrużąc oczy, patrzył na jej powieścią twarz, wykrzywioną z wściekłości.

Z za okna dźwięczała orkiestra, trąba uporczywie jęczała, bęben turecki ogłuszająco dudnił. Romaszow słyszał słowa Raisy i nie rozumiał ich. Zdawało się podporucznikowi, że te słowa biją go, chłoszczą, wstrząsając mózg pod takt uderzeń w bęben.

Raisa z trzaskiem zwinęła wachlarz.

— Oh, podły, obmierzły! — szepnęła tragicznie i szybko wyszła do damskiego pokoju.

Wszystko było skończone. Romaszow jednak nie czuł oczekiwanego zadowolenia, ani na chwilę nie spadł mu z duszy brudny ciężar. Nie, źle postąpił, zwalając całą winę tego stosunku na tę ograniczoną kobietę, przypisując jej wszystko nikczemne. Zrobił to jak tchórz, jak dzieciak. Wyobrażał sobie teraz jej gorące łzy, jej spazmy, bezsilną złość, widział czerwone, zapuchnięte od płaczu oczy.

— Staczam się, staczam się coraz niżej — myślał z głębokim wstrętem. — Cóż za życie! Coś ciasnego, szarego, brudnego... Ta bezcelowa nikczemna przeszłość związana z tą kobietą, pijaństwo, rozpaczliwa monotonia służby... bodajby jeden, jeden żywszy moment, jeden błysk radości... Książki, muzyka, nauka — gdzież to wszystko?

Wyszedł do jadalni. Osadczy z Wietkinem wyprowadzali zupełnie pijanego Lecha, trzymając podpułkownika za ramiona. Lech, pochylając głowę na lewo, to na prawo upewniał obydwóch oficerów, że jest popem.

Osadczy najpoważniej mówił tonem prodyakona:

— Błogosław najwielebniejszy władko. Czas rozpocząć modlitwy...

Im bardziej wieczór tańczący zbliżał się do

końca, tem więcej było osób w jadalni, napełnionej dymem, że ledwo przezeń można się było zobaczyć.

W jednym rogu śpiewano, w innym opowiadało sobie okropnie tłuste anegdoty...

— Panowie, panowie, pozwólcie — opowiem wam, — krzyknął Arczakowski. — Przyszedł raz żołnierz do pewnego chłopca, który miał śliczną żonkę. Ot i myśli żołnierz jakoby tu...

Ledwo skończył, zaczął opowiadać Lipski.

— Ot anegdotka. — Jeden oficer — —

Nie zdążył wszystkiego opowiedzieć, już następny niecierpliwy zaczynał coś nowego.

A wszystkie te anegdoty były rozwiazłe, płaskie, cynizm zaś wzbudzał śmiech i ogólne zadowolenie.

Wietkin, wyprawivszy Lecha powrócił do jadalni i zaprosił do kompanii Romaszowa.

— Siadaj Jerzy... wypijemy. Rozbiłem wczoraj bank — jestem bogaty jak żydowin, a i dziś grać będę.

Romaszow z całej duszy pragnął się przed kimś uzalić, wypowiedzieć, podzielić z kimś swem brzemieniem. Pił kieliszek za kieliszkiem, patrząc na Wietkina wzrokiem błagalnym, upewniającym, wreszcie zaczął po chwili.

— Wszyscyśmy Pawle Pawłowiczu zapomnieli o tem, że istnieje jeszcze inne życie, że żyją gdzieś inni niż my ludzie dalecy, bardzo dalecy od nas. Przyjacielu mój, jak my żyjemy? jak, jak!

— T-tak, bracie, cóż tu już mówić o tem — ze smutną rezygnacją odparł Wietkin. — Wogóle... filozofia natury, energietyka... gołąbku, co to jest energietyka?

— O, to wszystko, co robimy! — zawołał w podnieceniu Romaszow. — Pijatyka, służba, pi-

jatyka — pijemy i pełnimy służbę. — Czyż na tem całe życie polega? Pomyśl — całe, caluteńkie życie!

Wietkin spojrział na podporucznika mętnym wzrokiem i zaśpiewał nagle drżącym, cienkim tonem:

W ciszy żyła,
W lasu żyła,
Na wrzecionie przędła...

— Pluń aniele na wszystko, i chroń zdrowie.

Z całej duszy, z całej duszy
Prząść ona lubiła...

— Chodźmy grać Romaszow-Romaszewski. — Wezmę dla ciebie czerwoną.

„Nikt mnie nie rozumie, nie mam nikogo takiego,” — myślał z goryczą Romaszow. Przesunęła mu się w myśli pani Ola, silna, piękna, dumna pani Oli coś tęsknego, pełnego słodyczy oplątało mu serce.

Do samego rana siedział w klubie, patrzył jak grają w sztos, sam brał w grze udział, lecz bez zadowolenia.

Spostrzegł jak Arczakowski, zajmujący z dwoma jeszcze partnerami oddzielny stolik, oszukiwał z zimną krwią, grających z nim.

Chciał na to zwrócić ogólną uwagę, lecz wstrzymał się, obojętnie pomyślawszy „ech wszystko jedno. Nic tem nie poprawię — nic.”

Wietkin przegrawszy wszystko spał, siedząc na krzeselku. Lenczenko zawzięcie przyglądał się graczom.

Świtało...

Dopalające się świece migotały żółtymi płomy-

kami. Twarze grających oficerów pośnięte, blade wyrażały znużenie.

Romaszow wciąż pozostawał wraz z innymi. Patrzył na karty, na kupy srebra, złota, papierów, stoliki kredą zapisane.

W jego głowie kołowała jedna jedyna myśl o brudzie, o nędznem życiu jakie prowadził.

X.

Złote, chłodnawe — prawdziwie wiosenne rano. Kwitnie czeremcha.

Romaszow, nie mogący jeszcze przewyciężyć swego rannego snu, jak zwykle spóźnił się i teraz na ranne zajęcia z żołnierzami. Z uczuciem wstydu i niepokoju dochodził do placu, na którym uczyła się jego rota. W tych znanych mu dobrze jego uczuciach, było coś poniżającego dla niego, a kapitan Sliwa potrafił poniżenie to jeszcze zwiększyć.

Ten człowiek — to jeden kłębek starej, należącej już do baśni dyscypliny, kłębek uwity w formalistyki ostrej, małostkowej, pełnej przekleństw, marszu na trzy tępa i kułakowania za byle co. Nawet w takim pułku, który znajdując się gdzieś w zapadłym kącie o dzikiem prowincjonalnem życiu, kapitan Sliwa był zjawiskiem wyjątkowem, jakimś starym szpargałem przesiąkniętym ostrą srogością, okrutną subordynacją, o której krążyło mnóstwo, wprost nieprawdopodobnych anegdot. Wszystko, co wychodzi po za ramy służby było dlań mandralogią, głupstwem — nie istniało. Wlokąc swoje życie, życie służbisty nie czytał nic z wyjąt-

kiem pewnych ustępów z *Inwalida*. Wszelkimi przyjemnościami w rodzaju zebrań, tańca pogardzał, dołączając przytem najohydniejsze określniki, najohydniejsze słowa z żołnierskiego słownika. Opowiadał, co zresztą mogło być prawdą, że w piękny wiosenny wieczór, kiedy sprawdzał jakieś służbowe rachunki, posłyszał nagle przez otwarte okno śpiew słowika. Po pewnej chwili zawołał na deńszczyka:

— Z-zacharczuk! w... wypędź mi t-tego ptaka, bo przeszkadza, łajdak!

Posępny, surowy ten starzec, okrutny w obieściu z żołnierzami nie tylko pozwalał podoficerom niemilosiernie bić winnych, ale i sam łupił żołnierzy tak, że pod uderzeniem naczelnikowskiej ręki niejeden przewracał się z wybitymi zębami. Za to dbał więcej o potrzeby żołnierzy. Nigdy pieniędzy nie zatrzymywał, pilnował, aby jadło było dobre, to też żołnierze w 5-tej roczce wyglądali lepiej, weselej niż w innych.

Oficerom nie darowywał nigdy, docinając zjadliwie, rozkoszując się sarkazmem, prześwitującym *chochtackim* humorem. Jeśli naprzykład któryś z oficerów w czasie marszu roty źle stąpał, kapitan zaraz krzyczał:

— No proszę. Dyabli niech biorą taką rotę, nie idą, jak należy, jeden pan podporucznik idzie doskonale.

Czasem zwymyślawszy całą rotę *rodzimeni* epitetami, grad obelg najordynarniejszych kończył dodatkami.

— Za wyjątkiem panów oficerów i podchorążego.

Wściekał się, kiedy który z młodszych oficerów spóźniał się na zajęcia. Jego gniew najczęściej dosięgał Romaszowa. Sliwa, z daleka już ujrawszy podporucznika, komenderował: „baczność!” i, wita-

jąc tym w sposób grubo-ironiczny zawstydzonego spóźnionego, sam stał bez ruchu i z zegarkiem w ręku patrzył, jak Romaszow, potykając się, zalekniiony szukał swego miejsca.

Czasem dopytywał się: jakże pan spałeś, co się śniło, albo — pan będzie w dalszym ciągu to samo robił? Dopiero po tem brał na bok winnego i robił mu w cztery oczy ostre wymówki.

— Wszystko jedno—myślał z rozpaczą Romaszow, podchodząc do roty. I tu źle i tam źle — całe moje życie przepadło.

Kapitan, Wietkin, porucznik Łbow i feldfelbel wszyscy zwrócili oczy na spóźnionego.

W tejsze chwili Romaszow sam sobie wyobrażał jak to on musi iść niezręcznie, jaki to musi mieć wygląd skonfudowany, gdy nań ot inni patrzą. Było mu bardzo przykro.

„Ale to może znów nie tak głupie? — próbował się uspokoić, jak to zwykle czynią młodzi, bojaźliwi ludzie. Głupstwo, — zadecydował i odrazu uspokoił się. Przypuśćmy nieprzyjemnie, ale będzie to trwało miesiąc, dzień, ani godziny nawet... Życie całe takie krótkie, że wszystko w niem zapomina się.”

Sliwa wyjątkowo nic nie powiedział, nie drwił, nie kpił. Tylko, gdy Romaszow znalazł się przy nim rzekł chłodno:

— Proszę pamiętać, podporuczniku, że jesteś obowiązany być w roczce na pięć minut przed starszym subaltern-oficerem i na dziesięć przed komendantem roty.

— Jestem winien, panie kapitanie.

— No. Ciągłe pan śpisz. Snem kożucha nie zdobędziesz. Proszę panów oficerów zająć swoje miejsca.

Cała rota plutonami była rozrzucona na placu.

Żołnierze stali w szeregach na krok jeden od drugiego. Mundury mieli rozpięte, aby ruchy mogli mieć swobodniejsze.

Roztropny podoficer Bobylew, z szacunkiem choć z ukosa patrząc na podchodzącego oficera, komenderował donośnie:

— Wznoszenie się na palcach i wolne przyśiadanie. Ręce na bio-odra!

A potem przeciągle:

— Za-czy-y-na! Ra-az.

— Ra-az—zaśpiewali unissono żołnierze i powoli przysiedli, a Bobylew także przysiadłszy ostro przeglądał szeregi.

Obok niego siedzący, mały, ruchliwy gefrejter Sierosz, ten wykrzykiwał cienkim jasnym, wyrwywającym się jak u młodego kogutka głosikiem:

— Wypad z lewej i prawej nogi z wyrzutem odpowiedniej ręki. *Towś!* Za-czy-na! *Ati*, dwa, *ati*, dwa — i dziesięć młodych głosów krzycało starannie, urywkowo: *hau, hau, hau, hau!*

— Stać! — krzyknął Sierosztan. — Ła-aszyn! Cóż ty tak systematycznie osła z siebie robisz? Wyrzucasz kułakami jak baba razańska — rób ty mi porządne ruchy: *hau, hau* — *Matki twej dyable!*

Młodzi podoficerowie szybkim krokiem podprowadzili żołnierzy do odpowiednich przyrządów, znajdujących się na placu.

Podporucznik Łbow, silny, zręczny chłopiec, doskonały gimnastyk, zdjąwszy szynel, mundur i pozostawszy w jednej niebieskiej koszuli, pierwszy podbiegł do poręczy.

Wzniósłszy się na rękach, rozhuśtał się tak, że w jednym momencie nogi jego znalazły się nad głową, i potem z siłą odbił się, przeleciał z półtora sążnia, przysiadając najprawidłowiej.

— Podporucznik Łbow! Znowu łamańce! — niby ostro zawołał kapitan Sliwa. Stary „burbon”

w głębi duszy miał szczególniejszą słabość do podporucznika, gdyż ten był świetnym we froncie i znawcą praw wojskowych.

— Słucham, panie kapitanie! — kraknął wesoło Łbow. — Słucham, ale nie wypełniam rozkazu — mrugnął na Romaszowa.

— Spełniać, co potrzeba, tu nie cyrk, tyle razy panu mówiłem.

Pluton czwarty uczył się gimnastyki na pochylej drabinie. Żołnierze jeden za drugim podchodzili do niej i podciągali się na rękach do góry. Podoficer Szapowalenko, stojąc przy nich, robił uwagi.

— Nie machać nogami, kończyny jak trzymasz!

Przyszła kolej na ostatniego żołnierza, niejakiego Chlebnikowa, z którego wszyscy śmieli się w całej rocie. Patrząc często na niego, Romaszów dziwił się, jak mogli takiego biednego, ogłupiałego człowieka przyjąć na służbę wojskową. Prawie karzeł, z pomarszczoną twarzą, bezmyślnie tempem spojrzeniem przykre robił wrażenie: pół idyoty. To też gdy Romaszów spojrział na niego, na tę twarz z zastygłym przerażeniem, na te oczy przestraszone, czuł jakieś wyrzuty sumienia.

Chlebnikow wisiał na rękach jak powieszony niedźwiadek.

— Podciągaj się, sobacza mordo, podciąga-aj! — krzyknął podoficer. — No!

Chlebnikow ze wszystkich sił starał się to zrobić i nie mógł. Drygał nogami, rozhuśtywał się, na koniec upadł na ziemię.

— Hooo! Nie chcesz się gimnastykować podlec! — ryknął podoficer, i podbiegł, chcąc go bić.

— Szapowalenko zakrzyknął groźnie Romaszów. Nie śmieć go ruszać, nie śmieć!

Szapowalenko salutując odparł.

— Według rozkazu. Tylko, wasza cześć, nie z nim nie mogę poradzić.

Chlebnikow, wycierając sobie ręką nos, tępo idyotycznie patrzył na oficera.

Z uczuciem głębokiego smutku, smutku próżnego Romaszow odwrócił się od Chlebnikowa i podszedł do plutonu trzeciego.

Po gimnastyce oficerowie w czasie dziesięcominutowej pauzy zeszli się na pogawędkę koło prętów. Rozmowa potoczyła się o paradzie, która właśnie miała nastąpić w maju.

— Zgadnij-że za co możesz dostać naganę! — mówił Sliwa, rozmachując rękoma i wypuczając oczy. Każdy z generałów ma swoje „ale.” Pamiętam był u nas niejaki generał-lejtenant Lwowicz, komendant korpusu. Był przed tem inżynierem. Zajmowaliśmy się więc przy nim tylko umiejętnem okopywaniem siebie samych. Prawa, marsze etc. wszystko na bok. Od rana do wieczora urządzali legowiska za małemi wałami — dyabli niech porwą! W lecie z ziemi, w zimie ze śniegu. Cały pułk opaskudzony był gliną. Komendant dziesiątej rotę kapitan Alejnikow otrzymał order Anny za to, że w dwie godziny potrafił usypać jakiś wał.

— Nie-żle — zauważył Łbow.

— Albo, to już i wy pamiętacie, Pawle Pawłowiczu, — strzelanie przy generale Aragońskim.

— A tak, tak — cha, cha — zaśmiał się Wiatkin.

— Cóż to było, zapytał Romaszow.

Sliwa wzgardliwie machnął ręką.

— A ot, żołnierzom tak zakuli lby teorią strzelania, że żołnierze ciągle głupstwa gadali np.

palec wskazujący nazywali cynglowym, prawe oko, okiem mierzenia i t. p.

— A pamiętasz pan, Afanasij Kiryłowiczu, jak to kuliśmy tę teorię — rzekł Wietkin — *Traktorya, deriwacya*. Jak Boga Kocham sam nic a nic nie rozumiałem. Dasz żołnierzowi strzelbę i powiesz patrz w rurę, co widzisz? „Linję która nazywa się osią osady.” Ale jak za to strzelaliśmy, pamiętacie, Afanasij Kiryłowicz.

— Jak-że-by Za to strzelanie dywizya nasza opisana była w gazetach zagranicznych. Dziesięć procent po nad wymaganie. Braliśmy się też na sposoby — no! Z jednego pułku do drugiego wypożyczaliśmy dobrych strzelców. Walili też aż tego było za dużo, kłajstrem musiał feldfelbel zamywać...

— A pamiętacie przy Slesarewie, jakto gimnastykowaliśmy się?

— Naturalnie! Byliśmy jak baletnicy. — Było ich dosyć tych generałów, darł by ich czort! Wszystko to jednak, moi panowie, głupstwo, w porównaniu z tem, co ma być. Będzie coś niedobrego. Dawniej wiedziało się choć o co cię spytają. A teraz, ach, zlituj się pan, żołnierz to bliźni, trzeba być humanitarnym — podrzeźniał kapitan — Pasy z łajdaka drzeć, pasy z tych łotrów. Ach rozwijać umysłowo, umysłowo he, he, różną ot! Niewiadomo czego teraz uczyć. Wymyślono atak powietrzny, dyabli wiedzą na co, po co?

— Tak to nie czekolada — zauważył Wietkin.

— Stoisz i patrzysz jak kozaczyska pędzą na ciebie i stać mus, usuń się zaraz ci napiszą: „U kapitana nerwy za słabe, niechaj pamięta, że nikt go gwałtem nie trzyma na służbie”

— Obmierzły starzec, — rzekł Wietkin. — W K — skim pułku ot co zrobił. Wpakował rotę w błoto i ryczy: „kłaść się!”

Komendant roty nie bardzo chciał spełnić rozkaz, no ale jak kazali, komenderuje „kłaść się!” żołnierze zmieszali się nieco, a on dopiero, co za rota, cóż to będzie na wojnie, marsz na odwach, baby jesteście nie żołnierze!

— Silnie powiedziano!—zachwycił się Wietkin.

— A jakaż z tego korzyść? Wymyślają na komendantów przy żołnierzu, żądają przy tem dyscypliny! Uderzyć nie wolno żadnego—bo to człowiek! Dawniej nic podobnego nie bywało. Łupili ich jak baranów, jak bydło, a przecież Sewastopol, pochody włoskie zostaną na zawsze. Bodaj mnie wyrzucono ze służby, a ja, jak tylko zasłuży która pałka, zajrzę mu tam gdzie potrzeba. Ot gdzie i w czym prawda.

— Bić żołnierza—to nie honor — głucho odezwał się milczący dotąd Romaszow. Nie można bić człowieka, który jest bezbronny wobec ciebie, który nie może uchylić głowy nawet. To znęcanie się!

Sliwa ironicznie obrzucił wzrokiem od stóp do głów Romaszowa.

— Co pan gadasz?—zawołał z pogardą.

— Romaszow zbladł, poczuł chłód, bicie serca w całej swej postaci.

— Powiedziałem, że to nie dobrze.. I powtarzam—odparł z siłą.

— Znamy, znamy takich migdałów — zaszczał Sliwa.—Zobaczymy po roku. Jeśli pana nie wykurzą z pułku, będziesz łupił po mordach, nie gorzej odemnie, może lepiej!

Romaszow spojrział na niego uparczywie, z niewiścią.

— Jeżeli pan będziesz bił żołnierzy, podam na pana skargę—rzekł szeptem.

— Cooo?—ryknął Sliwa, ale wstrzymał się — dość głupstw moi panowie—rzekł groźnie, ciskając spojrzenie w stronę Romaszowa. — Pan, panie podporuczniku za młody na to, by uczyć starych, wytra-

wnych oficerów, którzy dwadzieścia pięć lat chlubnie służyli swojemu monarsze. Proszę panów do szkoły rotnej — zakończył gniewnie.

Odwrócił się od oficerów.

— Zachciało się wam wplątać się—pojednawczo rzekł Wietkin, idąc obok Romaszowa. — Widzicie, że ta śliwa nie słodka. Wy go jeszcze nie znacie, jak ja go znam. On wam takich rzeczy nagada, że nie będziecie wiedzieli gdzie się podziać. A odpowiecie—do aresztu was wpakuje.

— Słuchajcie, Pawle Pawłowiczu, to przecie nie służba, to — fanatyzm jakiś! — ze łzami gniewu i urazy w głosie rzekł Romaszow. — Ci starzy żołdacy szydzą z nas. Umyślnie starają się utrzymać w stosunkach między oficerami grubiaństwo i jakąś cyniczną zuchowatość.

— No tak, — obojętnie potwierdził ziewając Wietkin. A Romaszow mówił dalej z zapalem.

— Tak, i komu to potrzebne, na co to podciąganie, wrzaski, ordynarne krzyki? Ach zupełnie, zupełnie czego innego spodziewałem się, gdy zostałem oficerem. Nigdy nie zapomnę pierwszego wrżenia. Byłem dopiero trzy dni w pułku i już dokuczył mi do żywego ten rudy Arszakowski. W klubie, w rozmowie nazwałem go porucznikiem, dlatego, że i on mnie podporucznikiem nazywał. I choć siedział obok mnie i razem piliśmy piwo, zakrzyczał na mnie: „po pierwsze ja dla was nie porucznik, a pan porucznik, a po drugie... po drugie, raczcie wstać, gdy starszy rangą robi wam uwagę...” Ja wstałem i stałem przed nim jak oplwany, aż póki nie powściągnął go podpułkownik Lech. Nie, nie, nie mi już nie mówcie, Pawle Pawłowiczu. Mnie to wszystko, do ostatnich granic obrzydło.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.